Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Polowanie na ptactwo wodne z „gabionu" we Francji. Widok gabionu od wejścia.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 9 (785) 20 MARCA 1935 R.

Znaczny napływ nowych prenumeratorów „ŁOWCA POLSKIEGO" spowodował wyczerpanie Nr. Nr. 2, 3, 4 i 5.
Zwracamy się z uprzejmą prośbą do PP. Prenumeratorów, którzy nie kompletują roczników o łaskawe przesyłanie nam wyżej wymienionych numerów „ŁOWCA POLSKIEGO" na koszt Administracji
KOMISJA PROPAGANDOWA P. Z. S. L.



„Chaskiel nad Chaskielami", przeszło 20-letni odyniec, zabity przez Pana Ministra Czesława Michałowskiego w leśnictwie Kijowiec. Fot. ś. p. M. Fuks.

W SPRAWIE HODOWLI SARN.

Nawiązując do artykułu mego w numerze 15-tym „Łowca Polskiego" z roku 1933, powracam jeszcze raz do tematu w sprawie hodowli sarn z uwagi na kończący się z dniem 1. VI. b. r. dwuletni okres ochrony sarn-rogaczy w województwie poznańskiem i pomorskiem.

W pierwszej linji należałoby zastanowić się nad skutkami wprowadzonego dwuletniego zakazu odstrzału rogaczy, chodzi bowiem zasadniczo o stwierdzenie faktu, czy zwolennicy, czy też przeciwnicy dotychczasowej ochrony mieli rację.

Zastrzegam się, że moje poniższe uwagi odnoszą się do warunków, jakie wystąpiły w powiecie obornickim, w którym, jako delegat łowiecki, miałem możność dokładnego zaobserwowania poczynań, zmierzających do uregulowania zwierzostanu sarn.

Na wstępie stwierdzam, że w powiecie obornickim tylko 60% łowisk ma stałą ostoję sarn oraz że czwartą część tych łowisk tworzą lasy i majątki państwowe ze zwierzostanem sarn, stanowiącym dwie trzecie ogólnej ilości tej zwierzyny. O ile atoli ilość tę określić można śmiało jako zbyt wygórowaną w stosunku do warunków egzystencji, o tyle jakość poroży rogaczy pozostawia dużo do życzenia.

Składają się na to dwie istotne przyczyny, a mianowicie z jednej strony stosowany już za czasów zaborczych i w dalszym ciągu kontynuowany bezmyślny odstrzał najlepszych reproduktorów przed rują, a z drugiej również bezmyślna, bo względami racjonalnej hodowli nieuzasadniona niechęć do odbijania kóz. Zwyczaj ten, usankcjonowany zbyt długim czasem ochronnym dla kóz, a nierównomiernie krótkim dla rogaczy, przeobraził się w trudny do zwalczenia system, którego wynikiem jest w przeważnej ilości wypadków, jeżeli już nie opłakany, to w każdym razie pod względem jakościowym wielce niepożądany stan. Dodać do tego należy, że „kochani" sąsiedzi, jako dzierżawcy wspólnych obwodów łowieckich, przyczynili się w bardzo poważnym stopniu do tego złego i nieprawidłowego stanu sarn, co bowiem oszczędził ten i ów hodowca, to padło ofiarą granicznych ścierwiarzy.

Ostateczny efekt tej bezplanowej i rabunkowej gospodarki streszczał się w tego rodzaju obrazkach, że w stadach o kilkunastu, a nierzadko kilkudziesięciu sztukach sarn, spotykało się tylko jednego rogacza!

Uważam, że dalszym zasadniczym błędem hodowli sarn w zachodnich województwach, jest nastawienie jej na zbyt wielką produkcję, której liczebność nie stoi w żadnym stosunku ani do naturalnych warunków egzystencji, t. zn. do możliwości należytego wyżywienia, ani też do poczynań w kierunku dokarmiania zwierzyny. Nasze siedliskowo ubogie knieje nie są w stanie wyżywić tej dużej ilości sarn, jaka znajduje w nich swoją ostoję, a skutki braku odpowiedniej naturalnej i sztucznej karmy ujawniają się w fizycznym niedorozwoju, t. j. w małej wadze i lichem porożu. Dalszem następstwem tej nadliczbowości, zwłaszcza w kniejach leśnych, są dotkliwe szkody, jakie sarny wyrządzają w uprawach leśnych przez zgryzanie pączków i młodych pędów, a więc czynnik,

który nie da się stanowczo pogodzić z racjonalną gospodarką leśną.

Jako pierwsze i najważniejsze zagadnienie w zakresie racjonalnej hodowli sarn, nasuwała się konieczność uregulowania stosunku płci przez odstrzał nadmiernej ilości kóz. Jeżeli do roku 1933-go żadne łowisko ze stałą ostoją sarn nie spieszyło się z wykonaniem tej czynności, to przyczyny tego szukać należy w zbyt wielkiej ilości myśliwych „zawodowców" poza granicami tych łowisk, zagrażających zwierzostanowi i przekreślających wszelkie zabiegi właściciela; równocześnie bowiem z odstrzałem kóz wewnątrz łowiska, szedłby zawsze odstrzał rogaczy przy jego granicach przez niepowołane jednostki, co w rezultacie doprowadziłoby tylko do dewastacji zwierzostanu.

Toteż z wielką radością i ulgą powitali zdrowo myślący hodowcy zarządzenie, wprowadzające dwuletnią ochronę rogaczy, gdyż z niem nadeszła wreszcie upragniona chwila, umożliwiająca uregulowanie zwierzostanu bez nadprogramowej i szkodliwej ingerencji złych sąsiadów dzierżawców; zarządzenie to powinno zrobić również poważny wyłom w wyżej wspomnianym systemie bezmyślnej gospodarki łowieckiej i może przyczynić się do sprowadzenia jej na właściwe tory.



Z Poleskiego Towarzystwa Myśliwskiego. Przy śniadaniu.
Fot. J. Regulski

Wiele prywatnych obwodów łowieckich, korzystając z ogólnej ochrony rogaczy, otrzymało na indywidualne wnioski zezwolenia na selekcyjny odstrzał kozłów i nadliczbowej ilości kóz, a ogólna cyfra tych zezwoleń, wydana w okresie dwuletnim, wyniosła w powiecie obornickim 55 sztuk rogaczy i 146 sztuk kóz. W lasach państwowych, jako najbogatszej ostoi sarn, zastosowano w latach 1933 i 1934 bardzo silną redukcję kóz, przy równoczesnym odstrzale rogaczy, nienadających się do dalszej hodowli. I tak np. w nadleśnictwie obornickiem odstrzelono w powyższym okresie 15 sztuk kozłów degeneratów oraz 211 sztuk kóz i koźląt, doprowadzając tem samem stosunek płci do 100 samców na 170 samic.

Oczywiście, że nie we wszystkich łowiskach osiągnięto w ostatnich dwóch latach prawidłowy stosunek płci; stały temu na przeszkodzie zarówno krótki okres udzielonego czasu odstrzału, jak też mentalność niektórych właścicieli łowisk. Stwierdzam atoli, że zabieg ten wykonano w większości wypadków, co oznacza niewątpliwie wielki postęp w dziedzinie hodowli i jest bezwzględną zasługą wprowadzonej ochrony rogaczy. Można śmiało zaryzykować twierdzenie, że dawny stosunek płci u sarn 1 : 3 w powiecie obornickim zmienił się obecnie na 1 : 1,5 względnie na 1 : 2.

Pozostaje mimo to jeszcze dużo do zrobienia, gdyż w całem tem poczynaniu chodzi zasadniczo o poprawę poroża rogaczy, co konsekwentnie pociąga za sobą: a) redukcję zwierzostanu sarn do norm, odpowiadających danym warunkom, a zatem maksymalnie do sześciu sztuk na 100 ha. łowiska; b) odstrzał rogaczy, nienadających się do dalszej hodowli z tytułu wadliwej budowy poroża, małej wagi i t. p.; c) dalsze dostosowanie ilości kóz do pozostałych samców (1:1), wreszcie d) utrzymanie osiągniętego stanu przez coroczny odstrzał ilości sztuk, odpowiadającej rocznemu przyrostowi.

Nie ulega wątpliwości, że dotychczasowa dwuletnia ochrona kozła nie mogła wpłynąć widocznie na poprawę poroża; również jasnem jest, że przeprowadzenie wyszczególnionych pod a-d) zabiegów nie da się uskutecznić bez dalszej ochrony, względnie bez daleko idącego ograniczenia czasu odstrzału rogaczy w łowiskach bez ich stałej ostoi.

Z dniem 1.VI b. r. rozpoczyna się sezon odstrzału rogaczy i niema najmniejszej wątpliwości, że wypoczęci przez dwa lata dzierżawcy polowań na podleśnych terenach łowieckich skorzystają skwapliwie z tego terminu, by rozpocząć dzieło niszczenia naszych dwuletnich poczynań w zakresie racjonalnej hodowli sarn, co ostatecznie nawet w ciągu jednego sezonu doprowadzi do stanu, jaki istniał przed wejściem w życie rozporządzenia o ochronie rogacza. Będzie to oznaczało przekreślenie wszelkich dotychczasowych zabiegów hodowców oraz zniweczenie szczytnych zamierzeń rozporządzenia z ujmą dla jego inicjatorów, gdyż żniwo będzie bardzo obfite, a w wielu wypadkach wprost rekordowe.

Jeżeli np. do roku 1933 we wspólnych obwodach łowieckich, graniczących z nadleśnictwem obornickiem, ubijano rocznie przeciętnie około 40 sztuk rogaczy, to cyfra ta powiększy się w roku bieżącym bardzo znacznie. Zredukowany tak wysokim odstrzałem stan rogaczy nadleśnictwa, który wynosi obecnie około 170 sztuk, skurczy się więc w najlepszym wypadku do dwóch trzecich części i będzie stale zmniejszał się, ponieważ roczny przyrost nie dorówna ubytkowi; rozumie się samo przez się, że w tych warunkach jakość pozostałych kozłów będzie również coraz gorsza.

Taki sam niefortunny obrót weźmie sprawa niemal we wszystkich łowiskach Wielkopolski i Pomorza i dziwić się trzeba naprawdę, że tylko znikomy procent myśliwych występuje w obronie postulatów racjonalnej hodowli sarn, podczas gdy ogromna większość ich umie tylko polować i strzelać, pozostawiając troskę o przyszłość stanu rogaczy losowi, względnie następnym pokoleniom.

Skoro zatem społeczeństwo myśliwych, a raczej tylko strzelców, wypowiada zdecydowaną walkę zwierzostanowi sarn, natenczas miarodajne czynniki winny zająć się stanowczo dalszą ochroną tej zwierzyny; zdecydowane i jak najostrzejsze pociągnięcia w tym kierunku, będą równocześnie najlepszym momentem wychowawczym dla całej rzeszy luzem chodzących myśliwych.

Jako najdalej idące i zapobiegające dewastacji zwierzostanów, bezwzględnie byłoby zarządzenie, nakładające na każdego właściciela i dzierżawcę łowiska obowiązek przedkładania rocznych planów odstrzału zwierzyny racicowej. Plany te, badane i opinjowane przez delegatów łowieckich na podstawie dokładnej znajomości lokalnych warunków, zatwierdzane

byłyby przez starostwa powiatowe. Zarządzenie powyższe musiałoby zawierać również sankcje karne odnośnie myśliwych, niestosujących się do norm planów odstrzału, jakoteż postanowienia o obowiązku zgłaszania przez dzierżawców wspólnych obwodów łowieckich w przeciągu 24 godzin, na najbliższym posterunku policji, każdej zabitej sztuki zwierzyny racicowej.

Zapewne, że tego rodzaju zarządzenie wymagałoby od delegatów powiatowych dokładnego zaznajomienia się ze stanem zwierzyny w każdem łowisku, co jest zresztą dzisiaj ich jedynym obowiązkiem; niemniej jednak znajomość taka podniosłaby bezwzględnie autorytet delegatów z wyłączną korzyścią dla zwierzyny.

Uważam, że inne postanowienia, jak np. dalsze zamknięcie na kilka lat odstrzału rogaczy, albo ograniczenie go do jednego lub dwóch miesięcy w sezonie, byłyby tylko półśrodkami, nierozwiązującemi stanowczo problemu stałej opieki nad zwierzyną. Wszak wprowadzenie w życie poruszonego wyżej obowiązku dokonywania odstrzału wyłącznie na podstawie zatwierdzonych planów objęłoby równocześnie ochronę jelenia, daniela, sarny i dzika i miałoby tem samem pierwszorzędny wpływ na pożądane ukształtowanie się ilościowego i jakościowego stanu zwierzyny racicowej, co w dobie tworzenia się Sekcji Ochrony Jelenia pozwalałoby na właściwe realizowanie jej postulatów hodowlanych; dopóki nie zabezpieczymy zwierzynie należytej ochrony, dotąd szkoda nawet mówić o jej racjonalnej hodowli.

Inż. LEON MARTYNIEC.

OBRAZEK Z NATURY.

Szary mrok zimowego poranka pełzał po ośnieżonych ulicach nędznej powiatowej mieściny, Wygwizdowa. Ze wszystkich prawie kominów strzelały ku niebu pióropusze dymów, rozpływając się w mroźnem powietrzu.

Miasto spało jeszcze, korzystając z dnia świątecznego.

Tu i owdzie tylko dawały się słyszeć trzaskania drzwi otwieranych żydowskich sklepików, a rzadcy przechodnie przesuwali się z pośpiechem, stukając po trotuarach obcasami.

Kilka wiejskich kumoszek przemykało szybko z ciężarem. Każda z przygarbionych postaci dźwigała na plecach przymocowane płachtami bańki z mlekiem, a wolne skutkiem tego ręce gestykulowały żywo, uzupełniając dość głośno prowadzoną przez idące rozmowę.

To znów parę wiejskich dewotek, okutanych w czarne chusty i szale, spieszyło do kościoła.

Środkiem jednej z ulic sunęła powoli żydowska szkapa. Z jej szeroko rozwartych chrapów buchały kłęby pary, osiadającej natychmiast w postaci szronu na zjeżonej sierści biednego zwierzęcia. Za szkapą, piszcząc obręczami kół po zmarzniętym śniegu, trząsł się beczkowóz — jedyny środek zaopatrywania w wodę mieszkańców tej prowincjonalnej stolicy.

Były to wszystko tak codzienne zjawiska, że nikt nie zwracał na nie uwagi. Nie zastanowiły też one jednego z przedstawicieli miejscowego świata łowieckiego, Józefa Koczura, który objuczony wszelkim możliwym sprzętem łowieckim, do wielkiego termosa włącznie, spieszył w stronę rynku, gdzie wyznaczono miejsce zbiórki przed wyjazdem na polowanie.

Myśl idącego zajęta była jedynie celem dzisiejszej ekspedycji, a przedewszystkiem obawą spóźnienia się na punkt zborny.

— Nie wiedzie mi się dzisiaj od samego rana — rozważał sobie w duchu — zabałamuciłem z robieniem nabojów, a tam już napewno wszyscy czekają.

Nie przypuszczał ani na chwilę, by mogli bez niego wyruszyć. O, bo pan Koczur był nie byle figurą — ważnym urzędnikiem miejscowego starostwa.

Przybywszy swego czasu z Małopolski, zaklimatyzował się szybko w Kongresówce. Pozbawiony wszelkich ideałów, poza wygodnem ułożeniem sobie życia, potrafił przy pewnej dozie wrodzonego sprytu i odpowiednio czołobitnego ustosunkowania się do wszelkiej władzy zdobyć o tyle pewne stanowisko, że to jedno stawiało go już na świeczniku miejscowego społeczeństwa urzędniczego, wzbudzając podziw i uznanie w gronie kolegów.

Poza urzędowemi „kawałkami", które Koczur odrabiał z pedanterją i mocno biurokratycznem zacięciem, ponosiła go jedyna namiętność — myślistwo. Był on głównym inicjatorem i założycielem kółka łowieckiego w Wygwizdowie, on też w dalszym ciągu uważał się za duszę tego towarzystwa. Doceniając w pełni swą rolę, nie wątpił, że kompani nie odjadą bez niego, wstydził się jednak niepunktualności, z którą sam wojnę toczył.



Maj. Grzymiszew p. L. Pulaskiego. Odyniec ubity przez ordynata Taczanowskiego.

Wkroczywszy na rynek, zastał rzeczywiście wszystkich w komplecie. Dwie pary chłopskich sań, zasłanych słomą, przykrytych wzorzystemi kilimami, stały gotowe do odjazdu. Niektórzy z myśliwych usadowili się już na siedzeniach, reszta kręciła się obok, przytupując nogami i zabijając ręce dla rozgrzewki.

Widok nadchodzącego poruszył zebranych. Posypały się powitania, przeplatane wymówkami.

— Myśleliśmy już, że się coś złego panu naczelnikowi przydarzyło.

— Zagapiłem się wczoraj i nie przerobiłem zawczasu nabojów — tłomaczył się Koczur — najgrubszy śrut miałem dwójkę, jeszcze z zeszłego miesiąca,

kiedyśmy polowali na deptanego. Teraz przecie nie można inaczej strzelać do zajęcy, jak dwoma zerami.

— A sędzia jakim śrutem strzela? — dorzucił pytanie, lokując się na saniach przy otyłym komorniku.

— Ja tam jedynką, powinna wystarczyć — odparł zagabnięty.

— Mojem zdaniem, na zimowe polowania tylko dwa zera — upierał się pan Józef przy swojem, prowokując tem całą dyskusję, która toczyła się dalej w drodze pomiędzy całą dziewiątką myśliwych, rozdzielonych na dwie obsady sunących wyboistą szosą sań.

Miało to być pierwsze w sezonie polowanie zimowe, zaczynające całą serję innych, wyznaczonych zgóry na kilka kolejnych niedziel. Znalazł się ponoć przy dyskutowaniu tej sprawy głos odosobniony, proponujący przesunięcie kilku terminów na soboty, żeby, jak dowodził, choć co drugą niedzielę iść do kościoła.



Poleszuk. Fot. J. Regulski.

— Jak radca taki nabożny, to szkoda, że na księdza nie poszedł — zakrzyczano go i ów radca jechał wraz z innymi, nie mając dość siły woli, by swe przekonania wprowadzić w czyn.

— Trzeba przecież żyć — tłomaczył się sam przed sobą, uspokajając pierwsze wyrzuty sumienia, które też nie odzywało się więcej i pan radca opowiadał właśnie z humorem towarzyszom różne przygody myśliwskie.

Miasteczko zostało daleko za nimi.

Słońce, przebiwszy z trudem mgły, znaczyło się dość wysoko na horyzoncie, kąpiąc okolicę w swych blaskach, odbijanych w nieskalanej bieli śniegu.

Niepozorne chłopskie koniki szły dość szparko i bez widocznego wysiłku ciągnęły sanie utartym gościńcem, na który zjechano z szosy.

Cel podróży nie był zbyt daleki, toteż niebawem oczom jadących ukazała się dość duża wieś, dotychczas zakryta otaczającemi ją wyniosłościami. Jeszcze chwila i obie pary koni stanęły przed sołtysem, gdzie czekali już naganiacze.

— Ile macie naganki? — spytał, wyskakując z sań, łowczy kółka, doktór Brzuchowicki.

— Dwadzieścia osiem — brzmiała odpowiedź.

— Starczy, będziemy mieli po trzech na każdego strzelca — skonstatował doktór i, wyciągając kartki z numerami, zwrócił się do towarzyszy: — No, ciągnijcie panowie, bo szkoda czasu.

Czynność ta odbywała się zwykle w wygwizdowskiem kółku z wielkiem nabożeństwem, co tłomaczyło się przedewszystkiem bardzo słabym stanem zwierzyny. Bywały wypadki, że jeden i drugi myśliwy nie miał okazji do strzału przez cały dzień. Bardziej przesądni, a ci spotykają się zwykle w każdem myśliwskiem gronie, przywiązywali specjalną wagę do ulubionych cyfr, bali się zaś, jak ognia, pechowych dla siebie numerów.

Koczur należał do najbardziej przesądnych. Podszedł więc z wielką emocią do łowczego i wyciągnął pierwszą z brzegu kartkę.

— Tam do djabła! — zawołał, spojrzawszy na numer — widzę, że mnie mój pech już dzisiaj nie opuści. Mam siódemkę, a to moja najgorsza cyfra.

— Mogę się zamienić z naczelnikiem — zaproponował usłużnie jeden z kompanji.

— O, co to, to nie — zaprotestował żywo Koczur, trochę skutkiem pedanterji, a głównie znów z przesądu, — bardzo koledze dziękuję, ale z zasady nie zmieniam stanowisk.

Podczas gdy myśliwi omawiali na podstawie wylosowanych kartek swe szanse, doktór naradzał się z przewodnikiem naganki nad planem polowania. Plan ten zresztą nie był zbyt skomplikowany i po chwili ruszono gromadnie na koniec wsi, by zająć kotłem leżące po tej stronie pola.

— Parzyste numery w prawo, nieparzyste w lewo — zakomenderował doktór.

Ze zbitej gromady poczęły się wysuwać w obie strony skulone od mrozu postacie naganiaczy, przeplatane myśliwymi.

Koczur czekał cierpliwie swojej kolejki i rozglądał się tymczasem po okolicy. Mroźny wiatr pędził po zamarzniętej bieli drobne grudki śniegu, uderzał w coraz to rzednącą grupę ludzi, wdzierając się im pod najszczelniej opięte przyodziewki. Słońce rzucało jaskrawe światło, roziskrzone w bieli pól, a patrzący mimowoli mrużyli oczy.

Wąż ludzi wyciągał się tymczasem coraz dłużej, aż rozeszli się wszyscy. W tym samym mniejwięcej czasie zeszły się skrzydła i ruszono ku środkowi. Czarne ludzkie sylwetki, znacząc się wyraźnie na białem tle ośnieżonego pola, tworzyły coraz to zwężający się pierścień.

Nagle w jego środku poruszyło się coś szarego. Zbudzony zając pomknął prosto w stronę Koczura.

— Jadzie, jadzie — zawołał jeden z naganiaczy.

— Czego się drzesz — strofował go pan Józef — toć ja też mam oczy.

Tymczasem kot, widząc przed sobą wrogów, stanął słupka i po chwili zawrócił w przeciwną stronę, defilując wzdłuż zbliżającej się coraz bardziej linji. Choć odległość była jeszcze zbyt duża, posypały się strzały. Jakże bowiem ominąć tak rzadką okazję. Zdeterminowany szarak, nie widząc nigdzie wolnego przejścia, położył po sobie słuchy i skręcił wprost na prześladowców. Nie udało mu się jednak wydostać z kotła. Trafiwszy na samego pana komornika, legł nieborak od jego strzału.

— Wszystko przez ciebie —marudził Koczur naganiaczowi — żebyś był nie krzyczał, zając byłby mój.

Mówiąc to, rozglądał się bacznie za nową okazją. Nadzieje na to były jednak coraz słabsze. Kocioł zacieśniał się wciąż; rozległa się trąbka łowczego i naganiacze puścili się biegiem do środka. Koczur powoli szedł ku towarzyszom, którym komornik opowiadał z przejęciem o swym tryumfie. Wyciągnął przytem z kieszeni kartkę ze swem zawczasu wypisanem nazwiskiem, którą dał chłopakowi, by ten przywiązał ją zającowi do osmyka. Był to zresztą zwyczaj ogólnie przyjęty. Nie rozumiano nawet, jakby się bez tego można zgodnie podzielić zwierzyną.

— Przecież kot kotowi nierówny — mawiali między sobą — zabiję dużego, a dadzą mi potem jakiego królika.

Toteż pokot wygwizdowskiego kółka przedstawiał całkiem niecodzienny obraz: każdy kot miał

przy osmyku rodzaj legitymacji z nazwiskiem swego zabójcy, a przez to samo i właściciela.

Wzięto jeszcze kilka kociołków z podobnym do pierwszego rezultatem. Stan zajęcy skutkiem braku odpowiedniej opieki pozostawiał wiele do życzenia. Kilkanaście sztuk zabito wcześniej na pomyka. Toteż po kilku godzinach uciążliwego brnięcia przez śniegi, miano zaledwie dziesięć szaraków na rozkładzie. Byli tacy, którzy jeszcze nic nie mieli. Koczur zato tryumfował, gdyż w ostatnim kotle zabił aż dwa koty, zresztą jedyne, jakie widziano.

Pomęczeni nemrodzi poczuli głód w kiszkach, więc też sygnał do odpoczynku i zakąski przyjęty został z radością.

Zatrzymano się właśnie pod krzakami, szumnie tutaj lasem zwanemi.

— Panie naczelniku, w pańskie ręce — zaczął komornik, przepijając do Koczura — narzekał pan na pecha, a tymczasem kto króluje? Nikt więcej nie ma dwóch kotów.

— Co to za królowanie — udając skromnego, odparł pan Józef — ale od wódki się nie wymawiam.

Poszły w ruch butelki, z których pociągano gęsto pod mocno wygniecione w kieszeniach i torbach zakąski. Towarzystwo wnet się ożywiło, sypnięto kawałami. Ten i ów wynosił swe sukcesy, lub tłomaczył niepowodzenia.

— Jeszcze nie wieczór — pocieszał tych ostatnich łowczy — teraz zrobimy kilka pędzeń w lesie, może się lis trafić. Nie marudźmy tylko zbytnio, bo wieczór za pasem.

Wzmianka o lisie przyśpieszyła i tak dość mocne tempo raczenia się wódką. Pochowano opróżnione butelki i, dogryzając reszty jedzenia, ruszono w las.

Naganka wcześniej zdążyła zajść na wskazane miejsce, zajęto więc pośpiesznie stanowiska na wąskiej, krętej dróżce, łowczy zatrąbił i zaraz odezwały się krzyki naganiaczy. Myśliwi z emocją oczekiwali ukazania się zwierzyny. Każdy myślał o lisie i o ewentualnych szansach zobaczenia go na strzał.

Narazie jednak na linji stanowisk panowała cisza. Mocno przerzedzone kępy karłowatej sośniny stały przysypane śniegiem, różowiąc się w blaskach chylącego się ku zachodowi słońca. Krzyki naganiaczy zbliżały się szybko. Jeden zając przemknął przez dróżkę, snudłowany fatalnie przez dwóch naraz strzelców. Wkrótce potem ujrzano drugiego, skradającego się chyłkiem ku myśliwym. Jeszcze chwilę i wypadł na łowczego, który zrulował go celnym strzałem na miejscu. Miot się skończył. Podniesiono jedynego zabitego koła i to z głęboko wżartym w ciało drutem zerwanego wnyka.

Następne dwa mioty były zupełnie głuche. Pozostał jeszcze tylko jeden. Lisa do tej pory nie widziano, choć jeden jego świeży trop spotkano po drodze, toteż emocja nie opuszczała myśliwych. Choć naganka miała teraz zajść dość daleko i pozostało więcej czasu do ruszenia, to jednak przez wzgląd na ewentualność lisa strzelcy zajęli cicho stanowiska i oczekiwali w naprężeniu.

Koczurowi dostało się tym razem bardzo obiecujące miejsce, rozejrzał się więc dobrze wkoło siebie i znieruchomiał, przeglądając uważnie wszystkie widoczniejsze przesmyki.

Raptem doszedł go wyraźny szelest i na kilkadziesiąt kroków w lewo ukazała się żółta sylwetka zwierzęcia. Złożył się bez namysłu i strzelił w łeb domniemanego lisa, nim jeszcze ten wysunął się cały na widoczne miejsce.

Trafione zwierzę zaskowytało głośno i rzuciło się w bok.

— No, mam go przecie — zawołał z radością pan Józef — dobrze dostał, nie pójdzie!

Jakież było jednak jego zdziwienie, gdy z krzaków wysunęła się sylwetka chłopa, ciągnącego lisa za szyję.

— Nie rusz go — zawołał Koczur, biegnąc ku swej ofierze — to mój lis.

— To pies, panie — odezwał się przerażonym głosem chłop.

— Wszystko jedno, pies czy suka, ja go zabiłem, mój...

W tem miejscu urwał raptownie, gdyż, podbiegłszy bliżej, zobaczył ze zgrozą, iż chłop szamotał się nie z lisem, lecz poprostu z żółtym psem, którego w dodatku trzymał na sznurku, przymocowanym do obroży.



Roczny wilk, wychowany przez łęgową sukę w Mizoczu (znajduje się obecnie w ogrodzie zoologicznym w Warszawie).
Fot. J. Dunin-Karwicki.

Pan Józef stanął bezradnie. Nie mógł pojąć co to za metamorfoza. Widział przecież wyraźnie lisa. Ani chwili nie przypuszczał, że ma tak blisko dróżkę, którą musiał właśnie w tym czasie przechodzić chłopina z psem.

— A tom się wsypał — przemknęło przez głowę niefortunnego nemroda. — Od rana mówiłem, że mam pecha. Niedarmo wyciągnąłem siódemkę.

Nadeszła tymczasem reszta kompanji, zwabiona krzykami. Można sobie wystawić, jaka wesołość zapanowała z naczelnikowego nieszczęścia. Nie mogła jej pohamować ani powaga prezesa kółka, którym wszak był pan Józef, ani też jego wysokie stanowisko w hierarchji urzędniczej.

Koczur zresztą prawie nie słyszał, co się wkoło działo. Stał nieruchomo, patrząc na oddalającego się chłopa, za którym wlókł się, niezbyt na szczęście pokaleczony, pies.

KONSTANTY KOMIEROWSKI.

Szan. Prenumeratorów prosimy o łaskawe szybkie odnowienie prenumeraty na drugi kwartał b. r., lub na miesiąc kwiecień.

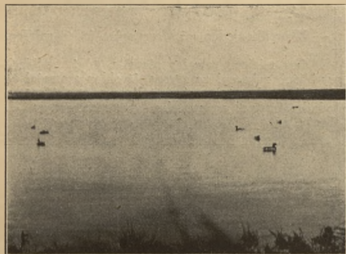
Jednocześnie uprzedzamy, że tym, którzy nie odnowią prenumeraty, wysyłka pisma zostanie wstrzymana.

Administracja.

POLOWANIE Z GABIONU.

Dziś chcę pomówić o rodzaju polowania, na które większość naszych nemrodów pokiwa zapewne z politowaniem głową, w czem, bezwątpienia, będą mieli słuszność.

Z naszego punktu widzenia strzelanie do siedzącej zwierzyny jest nietylko niesportowem, ale również niezajmującem. Strzał do kucniętego zająca w kniei, albo do bażanta „na łapkach" godnym jest chyba zupełnie początkującego myśliwego, którego napewno nikt za to nie pochwali!



Widok na sadzawkę z pikowanemi krekuchami.

W ocenianiu jednak tych rzeczy liczyć się należy z wielu lokalnemi tradycjami, warunkami, z pewnym myśliwskim atawizmem. Faktem jest, że przeciętny Francuz, kiedy mowa o polowaniu na jakiegokolwiek zwierza, pyta się przedewszystkiem: „Czy to się je?" Ma to tę dobrą stronę, że żadna zdobycz nie przepada, że nic się nie marnuje, ale skądinąd znów prowadzi do tego, że cały wysiłek myśliwego jest skierowany do otrzymania największego rezultatu przy najmniejszym wysiłku, a zwłaszcza wydatku. Przy ultrademokratycznej ustawie łowieckiej, gdzie każdy obywatel, za minimalną opłatą, ma prawo w dozwolonej epoce wziąć strzelbę pod pachę i strzelać po całym kraju, wytwarza się ogromna konkurencja i wyszukuje się sposoby, zapomocą których można, o ile się da, odosobnić się i najwięcej szans mieć po swojej stronie.

Do takiego właśnie *splendid isolation* myśliwego dochodzi się przy polowaniu w „gabionie". Całe północne i północno-zachodnie wybrzeże Francji usiane jest gabionami, z których w sezonie gęstych przelotów razwraz rozlegają się strzały armatek i strzelb, prawdę powiedziawszy, nieczyniące zwierzynie takiego uszczerbku, jakiby wydawał się możliwym wobec przygotowań, które tu pokrótce opiszę.

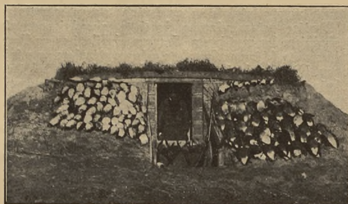
Gabion jest to, właściwie mówiąc, typowy kawał okopu, położony nad sztuczną sadzawką, mającą około 85 mtr. średnicy. Tylko że ten nawet, kto widział na wojnie najwięcej udoskonalone niemieckie okopy, oniemiałby z podziwu na widok urządzenia i uzbrojenia gabionu. Gabion t. zw. lądowy, t. j. taki, który nigdy nie jest narażony na zalew podczas silnego przypływu morza, składa się czasem z trzech, a nawet czterech izb, czy pokoi, urządzonych jako pokoje jadalne, sypialne i schrony dla psów myśliwskich. Wszystko to naturalnie pod ziemią, z zachowaniem zupełnego zabezpieczenia od przesiąkania wilgoci, czasem z dużym komfortem.

Oczywiście najważniejszą częścią jest strzelnica, znajdująca się tuż przy brzegu sadzawki i wyniesiona ponad resztę pokojów. Ma ona w całej długości wylot do strzałów, opatrzony spuszczanemi szybami, które również bez najmniejszego hałasu można podnieść i obrócić na wylot, a także osadzone na gwintach — jedną lub dwie małokalibrowe armatki.

Poluje się wieczorem lub rano. W tym celu pikuje się przedewszystkiem na sadzawce krekuchy, służące do wabienia przelatujących stad. Umieszcza się ich 6 lub 9, w dwóch lub trzech linjach, rozchodzących się pod kątami od gabionu.

Jeżeli mówię, że poluje się wieczorem lub rano, to mylę się o tyle, że właściwie należałoby powiedzieć, iż poluje się całą noc. W istocie bowiem nocny ruch ptactwa podczas przelotów prawie nie ustaje. Dlatego też po dwu stronach strzelnicy przygotowane są łóżka, gdzie myśliwi leżą, dyżurując kolejno i obserwując sadzawkę. I teraz przychodzą chwile, które prawdziwego myśliwego nawet w tym wypadku muszą zemocjonować. Krekuchy, słysząc w oddali przelatujące ptactwo, podnoszą raptem zgiełk kwakań, rozlegający się echem wzdłuż całego wybrzeża. Wtedy stado zaczyna krążyć nad gabionem i nagle, przywabione ostatecznie przez krekuchy, z charakterystycznym pogwizdem u rozmaitych rodzajów kaczek i brodźców, opada z szumem i siada na wodzie. Zwykle jest już mroczno i gołem okiem kontury tylko rozróżnić można. Więc przez lunety obserwuje się pozycję stadka, rodzaj i ilość ptaków, i główne ich skupienie.

I teraz następuje chwila, która zgorszeniem napełni pierś łowcy polskiego: naprowadza się armatkę na dobrze zbite stadko i daje się ognia, podłapując strzałami z fuzji uciekające, lub ranne ptaki. Amatorzy tego sportu (sic!) czasami godzinami czekają w nocy z Zeissem przy oczach na dobre skupienie stadka i strzelają dopiero w zupełnie zwartą masę. Zapał do tego rodzaju strzelania jest taki, że często do jednej cyranki, niedającej się dosięgnąć z fuzji, strzela się koniec końców olbrzymim nabojem z armatki. Chcę tu jednak powrócić do wzmianki, uczynionej na początku, co do stosunkowo niewielkiej ilości ptaków, zabijanych w gabionach. Dobre „sady" na Polesiu, przy sześciu dobrych strzelcach, dadzą większy rezultat, niż cały rok gabionu i to najlepszego, bo są i takie, gdzie się prawie nic nie zabija!



Gabion „udekorowany" ubitemi kaczkami.

Bardzo oryginalnem i kunsztownem jest urządzenie gabionów t. zw. morskich, podlegających zalewowi przy silnych przypływach. Tam konstrukcja polega na silnym betonowym czterościanie i podstawie, w które, jak w pudełko, jest wstawiony właściwy gabion, z całem jego urządzeniem. Woda, wlewając się do betonowej konstrukcji, podnosi gabion do wysokości przypływu, poczem go przy odpływie opuszcza, tak iż będący wewnątrz prawie tego nie odczuwają.

Dodać trzeba, że poza strzałami z armatek, dopóki trwa światło dzienne, dużo używa się zwykłej broni do przelatujących nad krekuchami pojedyńczych sztuk.

JAN Z KOŚCIELCA - POGORSKI.

ZJAWISKA DIEDZICZNOŚCI U PSÓW.

Ogromnie interesujący artykuł p. mec. Przychodźki, pomieszczony w Nr. 2 i 3 „Łowca Polskiego" z b. r., pozwala, mojem zdaniem, na pewne uogólnienia i uzupełnienia, które być może zainteresują szersze koła hodowców psów myśliwskich.

Ponieważ zaś cechy dziedziczne, jak dowodzą badania lat ostatnich, są w zasadzie podobne w różnych rasach, z bardzo małemi wyjątkami, jeśli chodzi o cechy specyficzne, powiedzmy dominujące u jednych, a recesywne w sensie mendelistyki współczesnej u drugich ras, więc też metoda zbadania co do przelewania się ich na potomstwo musi być w pierwszym rzędzie doświadczalną, a nie historyczną.

Jak bowiem widzieliśmy z nadzwyczaj ciekawych danych odnośnie do historji różnych odmian setterów, w grupie tych psów podobnie, jak zresztą u wszystkich wyżłów, dzięki różnorodnym krzyżówkom, mamy do czynienia w zasadzie z temi samemi cechami, jeśli chodzi o ubarwienie, przeto historja poszczególnych odmian może dać jedynie bardzo ogólne wskazówki, jeśli chodzi o jej poszczególne właściwości dziedziczne.

Punkt wyjścia wspomnianego artykułu: jednomaściste czarne szczenięta w krzyżówce setterów irlandzkich i angielskich — są, powiedzmy odrazu, genetyczną oczywistością i muszą wystąpić zawsze przy krzyżówce psów czarnych z czerwonemi. Taka krzyżówka zachodzi w danym przypadku, nie ulega bowiem wątpliwości, iż settery angielskie, użyte w tej krzyżówce, były albo białe w czarne łaty, albo t. zw. „blue belton". W jednym i drugim przypadku barwa, jaka wchodzi w grę ze strony angielskiego settera, jest czarną, podczas gdy jego irlandzki pobratymiec wniósł do krzyżówki barwę czerwoną. Tak tylko z punktu widzenia współczesnej genetyki możemy patrzeć na jeden i drugi typ settera, gdyż, popularnie biorąc, barwę „blue belton" uważam za pojedynczą maść, choć składają się na nią dwa czynniki rozmieszczenia pigmentu, t. j. plamistość (barwa w łaty) i centkowatość. Czynniki te nie mają nic wspólnego z maścią jako taką, wobec czego psy łaciaste mogą być różnych kolorów i odcieni.

Z załączonej przy końcu niniejszego artykuliku tabelki wynika, że barwa czarna jest dominująca w stosunku do czerwonej, potomstwo zatem, otrzymane w omawianej krzyżówce, powinno, jak to stwierdzają fakty w krzyżówce, otrzymanej przez p. sędziego J., mieć pigment czarny.

Setter irlandzki jest psem jednomaścistym w przeciwieństwie do anglika dwubarwnego. U psów, jak stwierdza cały szereg doświadczeń, pomijając odrębny typ barwy, t. zw. arlekinów (dogów i psów dalmatyńskich), jednomaścistość w sensie mendelistycznym dominuje nad plamistością.

Wobec tego jest oczywistą rzeczą, że, jak w istocie stwierdzono, mieszańce takie muszą przybrać barwę jednomaścistego czarnego psa. Wynik ten jest naturalną konsekwencją stosunku dominacji barwy czarnej i czerwonej, jako jednej pary cech z jednej strony, z drugiej zaś plamistości i jednobarwności.

Do wytłomaczenia wyników nie potrzeba zatem odwoływać się do zjawiska atawizmu, czy inherentnej skłonności do barwy czarnej u setterów.

Plamisty zaś osobnik w pierwszej generacji takiej krzyżówki świadczyłby tylko o nieczystości danego irlandzkiego settera co do przelewania jednomaścistości, w normalnych zatem stosunkach nie miałby możności pojawienia się. Następne pokolenia, przy łączeniu ze sobą dwu czarnych jednomaścistych mieszańców, dałyby z punktu widzenia barwy następujące wyniki zgodnie z prawami Mendla, co do których bliższej istoty muszę odesłać czytelnika do jednego z kilku podręczników nauki o dziedziczności, jakie pojawiły się w języku polskim.

Zgodnie z ową czysto doświadczalną metodą opracowanemi prawami, możemy mieć pewność, iż w drugiem pokoleniu potomnem owych mieszańców otrzymamy na każde trzy osobniki z dominującą jednomaścistością jednego plamistego, na każde trzy czarne—jednego recesywnego czerwonego. Uwzględniając obydwie cechy jednocześnie, zauważymy, że na każde 16 obserwowanych w tem pokoleniu osobników otrzymamy 9 czarnych jednomaścistych, 3 czarne łaciaste, 3 czerwone jednomaściste i wreszcie 1-go czerwonego i jednocześnie plamistego.



„Shott" wystawia. Fot. J. Marchlewski.

Pewną komplikację mogłoby tu wprowadzić działanie zawartego w genotypie angielskich setterów czynnika centkowatości, dające to, co hodowca nazywa „belton". Komplikację tę wszakże możemy dla udogodnienia pominąć, zwłaszcza, że polega ona na tem tylko, iż niektóre osobniki łaciaste, wśród nich zaś także ów czerwono - biały, mogą mieć liczne centki, albo być ich pozbawione.

Gdybyśmy, zamiast łączyć ze sobą mieszańce pierwszego pokolenia, skrzyżowali czarnego mieszańca z setterem angielskim biało-czarnym, otrzymalibyśmy w połowie osobniki czarne jednomaściste, w połowie dwubarwne, a zatem białe z czarnem. Czarny mieszaniec wreszcie, skrzyżowany z setterem irlandzkim, da potomstwo w połowie jednobarwne czarne, w połowie zaś czerwone.

Tak przedstawiają się pokrótce możliwości wyników łączenia czerwonego settera irlandzkiego z genetycznie czarnym angielskim. Nie są to jednakże wszystkie możliwości, gdyż standard setterów angielskich pozwala na występowanie w tej rasie całego szeregu różnych genotypów barwnych. I tak żółty anglik, a więc co popularnie nazywamy „lemon belton", da z irlandem jednobarwne czerwono - żółte potomstwo, które swoje właściwości będzie przenosić w sposób analogiczny do poprzednio omówionych czarnych, z tem jednak, że będzie wchodzić w grę je-

dnobarwność i łaciastość, co do barwy zaś będzie jedynie wchodzić w grę różnorodność odcieni bez jakiegokolwiek pojawienia się barwy czarnej.

Nie ulega też wątpliwości, że, jak to w swojej książce o irlandzkich setterach wspomina Mrs I. Beepler, krzyżówka taka była stosowana kilkakrotnie w praktyce hodowli angielskich setterów dla otrzymania bardziej intensywnego odcienia barwy u odmiany „lemon belton".

Ostatnia możliwość to efekt połączenia podpalanego anglika z setterem irlandzkim. Podpalanie samo jest znowu cechą rysunku, a nie ubarwienia, istnieją bowiem psy czarne podpalane, brunatne podpalane i nawet płowo - żółte z jaśniejszem podpaleniem. Genotyp podpalany w kombinacji z czarną barwą, daje barwę typową dla gordon - settera, w kombinacji zaś z genem łaciastości to, co hodowcy nazywają „tricolor". Podpalanie jest cechą ustępującą „recesywną" w stosunku do jednomaścistości, tak np. pies brunatny, łączony z czarno-podpalanym, daje jednomaściste czarne potomstwo. Jednakże okazało się ono dominujące w stosunku do czerwonej barwy settera irlandzkiego, czy też w rodzinie terrierów do czerwonej barwy terriera irlandzkiego. Dowodem tego są choćby owe kilka „Gordon Setter mit regelwidrieger Farbe", zapisywane w księgach „Deutscher Pointer und Setter Verein" jako psy czerwonej, czy czerwono - żółtej barwy, rodzące się z typowych czarno podpalanych rodziców.



Rodzina. Fot. A. Dmochowski.

Wobec tych danych niema dla mnie wątpliwości, że angielski setter „tricolor" da w krzyżówce z irlandem czarno - podpalane mieszańce, o maści identycznej z gordonem, choć oczywiście odrębne od niego w typie.

Nie ulega też wątpliwości, że stosunki dziedziczenia maści są naogół podobne u wszystkich wyżłów, ogarów, chartów i owczarków.

Oczywiście w pewnych przypadkach zachodzą odchylenia od ogólnie przyjętej normy. Czarna barwa jest naogół dominująca, być może nawet w stosunku do barwy dzikiego psa, a przynajmniej w stosunku do t. zw. „wilczej maści" u psów domowych. Ciekawą w tej koneksji jest rzeczą, że, krzyżując brunatnego wyżła z szarym owczarkiem, otrzymamy jakgdyby atawistyczne wystąpienie barwy czarnej u całego potomstwa, co świadczy o pierwotnym typie barwy czarnej, występującej zresztą u niektórych południowo - europejskich form wilków, uważanych za zbliżone do form pierwotnych, od których pochodzi pies. Podobnie u pointerów barwa t. zw. pomarańczowa, żywy odcień barwy żółtej z czarnym nosem i ciemnemi oczyma, dają w krzyżówce z brunatną potomstwo czarne.

Z drugiej strony być może, że u jamników zachodzą wypadki występowania odmiany barwy czarnej o charakterze raczej recesywnym. Naogół wszakże dziedziczenie barwy jest analogiczne u większości hodowanych u nas ras.

Sądzę też, że podana poniżej tabelka, która stanowi cokolwiek uzupełnione zestawienie mego podręcznika dziedziczności z 1928 roku, będzie mogła oddać hodowcom pewne praktyczne usługi:

CECHA DOMINUJĄCA:	CECHA RECESYWNA:
Jednomaścistość	plamistość (t. zw. łaciastość typowa dla angielskich setterów)
plamistość dogów arlekińskich i psów dalmatyńskich (t. zw. tarantowatość)	jednomaścistość
jednolitość ubarwienia	podpalanie
podpalanie	czerwona barwa irlandzkich setterów i terrierów
czarna barwa jednolita	pręgowanie
pręgowanie	żółta barwa z czarnym nosem
żółta barwa z czarnym nosem	żółta barwa z jasnym (cielistym) nosem
czarna barwa	rozcieńczenie pigmentu (barwa brunatna)
brunatna barwa	żółta barwa z jasnym nosem
włos krótki	włos długi
włos szorstki	włos gładki
uszy obwisłe.	uszy stojące.

Powyższa tabelka obejmuje szereg właściwości dziedzicznych, stosunkowo nietrudnych do zbadania, które można było opracować bądź to drogą badań materjałów, zebranych w księgach rodowodowych różnych stowarzyszeń hodowlanych, bądź też metodą obserwacyj, czynionych w obrębie jednej tylko rasy.

Nie trzeba wszakże dowodzić, że genetyczne podstawy czy to charakterystycznej budowy ciała, czy to właściwości psychicznych, są z punktu widzenia istotnych potrzeb hodowli o wiele ważniejsze.

Badania takie mogą być czynione tylko metodą doświadczalną i wymagają prowadzenia krzyżówek między dość odległemi typami. Ze względu na dość znaczny koszt i trwanie okresu doświadczeń, prac tego typu jest stosunkowo niewiele, pomimo że wyniki S t o c k a r d a (1929) wskazują na specjalną wartość psa, jako zwierzęcia, pozwalającego badać podstawy dziedziczenia cech budowy i ich zależności od właściwości psychicznych i odwrotnie. Badania L. C. Whitney'a (1929 i 1931) oraz podpisanego (1930), czynione nad wyżłami, wykazały, że instynkt stójki jest cechą dominującą w stosunku do ras, nieposiadających tej skłonności, podczas gdy skłonność do sekundowania jest cechą wybitnie recesywną. Krzyżówki ogarów z owczarkami wykazały, że zdolność tropienia głosem dominuje nad zdolnością tropienia milczkiem, jednakże mieszańce mają piskliwy gon, raczej terriera, nieprzypominający pełnego „śpiewu" ogara.

Górny węch dominuje częściowo nad węchem dolnym ogarów, choć z drugiej strony istotnie polegание przez nie wyłącznie tylko na właściwym „górnym wietrze", spotykane u wyżłów polowych najwyższej klasy, niewątpliwie jest raczej recesywne w odniesieniu do mniej skrajnych odcieni tej cechy.

Powyższe wiadomości, rzecz oczywista, można było tylko osiągnąć, stosując poniekąd metodę „psucia rasy", uciekając się do krzyżowań. Na to jednak rady niema i materjał taki może służyć wyłącznie tylko do ściśle naukowych celów, nie wchodząc w zakres jakiegokolwiek materjału hodowlanego.

Koszt prowadzenia tego rodzaju doświadczeń jest

oczywiście duży, niemniej jednakże, ze względu na ich ogólne znaczenie, jest, jak okazuje się właśnie w ciągu ostatnich lat, koniecznym warunkiem, by istniały środki na badania genetyczne nad psami, jako podstawą wszelakiej genetyki cech psychicznych wogóle.

Z drugiej strony i w obrębie normalnej hodowli jest jeszcze stosunkowo dość miejsca na to, by hodowca mógł niekiedy wykroczyć poza ciasne ramy i granice rasy, dając możność pewnego rozwoju szczepowi ras, którym być może groziło pewne skostnienie w ramach ciasnego zakresu właściwości danego szczepu i rasy.

Chodzi o to, że według § 10, 11, 12 Kennel Clubu z 1932 r. mieszańce kilku odmian setterów, spanieli, czy retrieverów, jako t. zw. *interbreds*, mogą zyskać miejsce w księgach rodowodowych danej rasy po trzech pokoleniach powtórzenia krzyżówek z rasą wyjściową, pod warunkiem, że wszystkie osobniki poprzednich pokoleń były rejestrowane jak *interbred*. Jeśli chodzi o dalej stojące rasy, dające właściwe krzyżówki, *crossbred*, potrzeba czterokrotnej procedury krzyżówek z rasą, pod nazwą której chcemy ostatecznie nasze produkty rejestrować.

I tak P. Eckles, chcąc poprawić właciwości myśliwskie swoich długowłosych Złotych Retrieverów, uciekł się do krzyżówki z czarnym gładkim Labradorem, a w bieżącym roku, jest w prawie, po trzechkrotnej krzyżówce uszlachetniającej, łącząc potomstwo mieszańców ze Złotym Retrieverem pełnej krwi, rejestrować swoje produkty jako materjał Złotych pełnej krwi i brać udział w nagrodach na wystawach i próbach.

Wspominam o tem nie w celu propagandy krzyżowania, do którego mamy naogół zbyt wiele skłonności, ale by zwrócić uwagę na możność korzystania z cennych właściwości polowych, których zapożyczenie od obcej nawet rasy może odbyć się bez szkody dla hodowli, o ile będziemy pamiętać o znajomości kardynalnych praw dziedziczenia.

Znajomość tych praw pozwoli nam na racjonalne stosowanie metod doboru hodowlanego, o czem pomówimy być może w oddzielnym artykuliku.

PROF. DR. T. MARCHLEWSKI.

POSTĘPY W WYROBIE ZAPŁONÓW AMUNICJI SPORTOWEJ I MYŚLIWSKIEJ.

Zadaniem zapłonu jest zapalenie ładunku prochu naboju, więc działaniem swem zapłon rozpoczyna proces strzału. Rola jego przy strzale jest wręcz podstawowa dla samego efektu strzału, ale pozatem zapłon jest jednym z najpoważniejszych czynników działania niszczącego strzału na lufę broni.

W niniejszym artykule zajmiemy się tylko niszczącem działaniem masy zapłonu na wnętrze lufy, rozpatrując jego przyczyny oraz środki, zmierzające do możliwego zredukowania ich, w której to dziedzinie w ostatnich czasach dokonano bardzo dużego postępu.

Podstawą każdego zapłonu jest materjał wybuchowy inicjujący, który służy do wywołania wybuchu zapłonu pod wpływem działania mechanicznego, jak uderzenie, tarcie i t. p. Materjałem inicjującym, używanym w zapłonach broni myśliwskiej i sportowej, jest piorunian rtęci.

Materjał wybuchowy inicjujący zmieszany jest z innemi ciałami, służącemi do regulowania zapłonu w tym kierunku, aby obniżyć siłę wybuchu materjału inicjującego, który mógłby powodować uszkodzenie miseczki zapłonu i łuski, oraz aby nadać płomieniowi masy zapłonowej taką temperaturę i taki czas trwania, jakie są najdogodniejsze do zapalenia prochu.

Domieszki regulacyjne zapłonu składają się z:

— ciał palnych, które przy spalaniu się dają odpowiednią ilość ciepła,

— dostarczycieli tlenu, to jest ciał, które przy rozkładzie dają tlen konieczny do spaleń,

— ciał uczulających (sensybilatorów), mających na celu podniesienie wrażliwości masy zapałowej na uderzenie, jak np. tarte szkło,

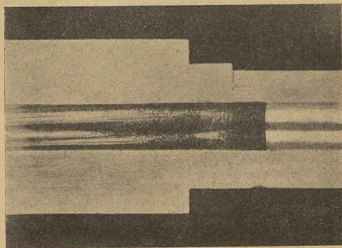
— lepiszcza, służącego do łączenia cząstek masy zapłonowej i zapobiegania rozsypaniu się masy, wzgl. rozdzieleniu składników,

— wreszcie stabilizatorów, t. zn. związków chemicznych, zapobiegających reakcjom pobocznym masy i przez to zapewniającym jej trwałość.

Wszystkie te składniki zapłonu przy wybuchu zamieniają się w gazy, pary i ciała stałe, które, mimo że występują w ilościach stosunkowo niewielkich, wywierają działaniem swojem duży wpływ na długotrwałość broni i precyzję strzału.

Gazowe produkty reakcji masy zapłonowej ulatują przy strzale z gazami prochowemi z lufy i działanie ich na materjał lufy nie jest większe, niż działanie gazów prochowych. Przy dobrze dobranym składzie zapłonu nie powinny w gazach powstawać składniki, specjalnie atakujące metal lufy.

Pary rtęci, powstałe przy wybuchu mas zapałowych, zawierających piorunian rtęci, są już bardziej aktywne. Nie opuszczają one całkowicie lufy, lecz skraplają się na chłodnych jej ściankach w postaci drobniutkich kropelek. Przy następnych strzałach tworzą one z ołowiem pocisku amalgamat, zasmarowujący przewód lufy; przyśpiesza to zjawisko zaołowienia lufy, w silnym stopniu obniżając precyzję strzału i przyśpiesza proces niszczenia lufy. Pozatem strzelanie amunicją o zapłonach, zawierających piorunian rtęci, jest szkodliwem dla zdrowia strzelców ze względu na trujące własności pary rtęci.



Po 25.000 strzałów amunicją zapłonu rtęci piorunującej.

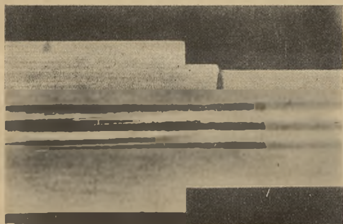
Jeżeli szerzej znane są tylko pojedyńcze wypadki zachorzeń z tego powodu, to przypisać to głównie należy temu, że zjawisko przybiera groźny charakter tylko u osób specjalnie wrażliwych oraz że niewielu strzelców przyczyny zaburzeń zdrowia doszukuje się w skutkach strzelania. Zaburzenia te zachodzą częściej, niż to się wydaje, lecz lekkie wypadki uchodzą stwierdzenia. Przy specjalnej idjosynkrazji strzelca zachodzą poważniejsze wypadki zapalenia błon śluzowych oczu i uszu.

Szczególnie jednak silnie na broń działają stałe produkty reakcji masy zapłonowej. Przy wystrzale pozostają one częściowo w łusce, częściowo zaś zostają porwane przez gazy i osadzone w lufie.

Normalna masa zapłonowa w amunicji myśliwskiej i sportowej składała się z:
piorunianu rtęci, jako materjału wybuchowego inicjującego,
siarczanu antymonu, jako materjału palnego,
chloranu potasu, jako dostarczyciela tlenu,
szkła sproszkowanego — jako sensybilizatora,
i szelaku lub t. p. — jako lepiszcza.

Z tych składników specjalnem działaniem odznaczał się chloran potasu, rozkładający się przy wybuchu na chlorek potasu i tlen. Chlorek potasu osadzał się przy strzale w lufie w postaci pyłku i, przyciągając wilgoć z powietrza, powodował szybkie i intensywne rdzewienie. Ponieważ ponadto chlorek potasu nie rozpuszcza się w olejach i tłuszczach, zostaje więc przy czyszczeniu broni usuwany tylko częściowo, czem tłomaczy się też dalsze rdzewienie broni po oczyszczeniu. Dlatego też przy użyciu zapłonów chloranowych należy po strzelaniu broń przemywać naprzód ciepłą wodą dla rozpuszczenia silnie osadzonego chlorku potasu.

Masa zapłonowa „niepowodująca rdzewienia", oparta jest na zastąpieniu chloranu potasu innym jakimś donosicielem tlenu, którego produkty reakcji nie miałyby tych szkodliwych dla trwałości broni właściwości, jakie posiada chlorek potasu. Przeważnie stosuje się azotan baru. W ten sposób fabryki amunicji wypuszczają na rynek zapłony „niepowodujące rdzy", które pod żadnym względem, czy to siły zapalającej, czy trwałości, wrażliwości na uderzenia i równomierności zapalenia, nietylko nie ustępują starym, zwykłym zapłonom, lecz często je przewyższają, a pozatem posiadają zaletę „niepowodowania rdzy".



Po 25.000 strzałów amunicją Sinoxid.

Otrzymane w ten sposób zapłony posiadały jeszcze dużą wadę w postaci tworzenia wypalań w lufie. Zjawisko to najintensywniej występuje w broni małokalibrowej (kal. 22) wobec tego, że naboje zawierają dużą ilość masy zapłonu w stosunku do kalibru i wielkości łuski; badania tych wypalań oparte też były na amunicji małokalibrowej z tem, że analogicznie, choć w mniejszym stopniu, występują też w innych amunicjach.

Wypalania te występują w formie gęsto zgrupowanych wgłębień o małej powierzchni, ostrych i stromych brzegach, pokrywających początek lufy od stożka przejściowego na długość 2 — 3 cm. Wypalenia te powstają wskutek erozyjnego działania stałych produktów reakcji masy zapłonu na lufę. Porwane gazami gorące cząstki stałe masy zapłonu osadzają się w lufie i chemicznie działają na jej metal. To działanie chemiczne jest samo przez się niewiele znaczne; współdziałają z tem wysoka temperatura, skład chemiczny żużla zapłonu oraz wielka szybkość poruszania się cząsteczek tego żużla. Ze wzrostem temperatury płomienia wzrasta też stopień zmiękczenia napotkanej powierzchni lufy, a przez to i zdolność przenikania w nią cząstek zapłonu, zaś ze wzrostem szybkości cząsteczek żużla wzrasta też głębokość przenikania ich do wnętrza lufy.

Najprostszem rozwiązaniem kwestji byłby taki dobór masy zapłonu, aby powstałe przy wybuchu masy zapłonowej żużle całkowicie zostały w łusce, nie przedostając się do lufy. Warunek ten jest w całości nie do spełnienia; można tylko obniżyć ilość żużla, przechodzącego do lufy. Należy zatem dążyć do tego, aby część żużla, która dostanie się do lufy, nie wywoływała w niej działania erozyjnego. Zadanie to obecnie zostało rozwiązane, a trudność tego rozwiązania polegała na następującem:

Wiadomo, że podstawową substancją zapłonu od przeszło 130 lat jest rtęć piorunująca. Związek ten nie jest idealnym do tego celu i utrzymał się tak długo tylko dlatego, że, mimo wysiłków, nie udawało się znaleźć lepszego środka zastępczego.

Nie omawiając wszystkich wad rtęci piorunującej, należy podnieść tylko szybki i wybuchowy rozkład tego środka inicjującego, która to cecha tutaj nie jest pożądaną, a to z dwóch punktów widzenia:

Pomimo wysokiej temperatury wybuchu, rtęć piorunująca, wskutek wielkiej szybkości rozkładu i krótkiego czasu trwania płomienia, zapala nowoczesne prochy bezdymne bardzo źle. Ponieważ pozostałe składniki regulujące masy spłonki, niepowodującej rdzy, w przeciwieństwie do intensywnie spalających mieszanin chloranowych, wchodzą leniwie do reakcji, wymagają dużego pobudzenia termicznego, procentowa zawartość rtęci piorunującej w tego rodzaju spłonkach musi być jeszcze podniesiona. Skutkiem tego jest wysoka szybkość rozkładu mas spłonki, przez co cząsteczki masy przelatują przez wnętrzne lufy z niezwykłą szybkością. To bombardowanie w połączeniu z niezwykle gorącym płomieniem, działającym na stal lufy zmiękczająco i odwęglająco, prowadzi do powstania tych charakterystycznych pól lejkowatych, które są typowe dla tego rodzaju erozji. Szybkość rozkładu rtęci piorunującej przyczynia się też do wzrostu temperatury płomienia, gdyż nie zostawia czasu na ochłodzenie.

Usunąć tę wadę można tylko przez zmniejszenie wybuchowości masy. Ponieważ środek najbliższy, obniżenie zawartości rtęci piorunującej w masie, praktycznie nie jest możliwy do przyjęcia bez silnego obniżenia zdolności zapalania, przychodzi więc do głosu tylko redukcja absolutnej ilości masy zapłonu, co powoduje obniżenie szybkości detonacji, a przez to i najwyższej temperatury wybuchu.

Rzeczywiście na tej drodze udaje się silnie obniżyć własności erozyjne masy z rtęcią piorunującą, lecz ulepszenie to zostaje okupione jeszcze większą wadą, stratą uniwersalności amunicji, t. zn. własności dawania najlepszej wydajności w różnych systemach broni. Zjawisko to tłomaczy się następująco:

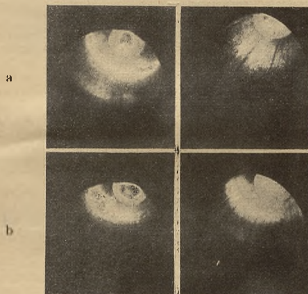
Wiadomo, że szybkość zapalania i spalania się prochu bezdymnego zależy w wysokim stopniu od oporu, t. zn. nietylko siły zacisku pocisku w łusce, lecz i oporu, powstałego przy przeciskaniu się pocisku przez lufę. Silny opór podnosi szybkość spalania i ułatwia zapalenie prochu, podczas gdy słaby działa odwrotnie. Przy oporze silnym wystarczy stosunkowo mały ładunek zapłonu, gdy słaby opór wymaga, aby osiągnąć możliwie największą precyzję pod wszelkiemi względami, silnego zapłonu. Pierwszy moment oporu, opór przeciskania się pocisku przez lufę, składa się z kilku czynników, jak średnica przewodu stożka przejściowego, formy i liczby gwintów i t. p., zatem w różnych konstrukcjach broni różni się od siebie bardzo znacznie. W pewnej ściśle dobranej broni, wskutek dużego oporu, nabój ze słabym ładunkiem zapłonu będzie strzelał dobrze, w broni zaś rozszerzonej, lub nieco wystrzelanej, może częściowo lub całkowicie zawieść. Z tego już widać, że amunicja o zredukowanym ładunku zapłonu nadaje się tylko do broni specjalnie dobranych, podczas gdy

amunicja o większym ładunku zapłonu może być uważana jako amunicja uniwersalna dla wszystkich typów broni.

Szczególnie charakterystyczną pod tym względem jest amunicja amerykańska o ogniu bocznym. W Ameryce najczęściej masę zapłonu ładuje się na mokro na brzegu łuski w ilości 15—20 miligramów. Ta mała ilość masy zapłonu wymaga specjalnie dobranego typu broni, po odstąpieniu od którego znacznie spada precyzja strzału. Dlatego też wyniki, otrzymane z tej amunicji w broni europejskiej, są znacznie gorsze. Dla prochów bezdymnych ta ilość masy zapłonu wogóle jest zbyt mała i dlatego precyzyjna amunicja amerykańska jest „półdymna", silnie dymiąca i brudząca lufę.

Reasumując, należy stwierdzić, że redukcja ładunku zapłonu zmniejsza wywołane przez obecność rtęci piorunującej zjawisko erozji, cierpi na tem jednak jakość amunicji tak dalece, że trudno się na ten krok zdecydować.

Przez wprowadzenie amunicji „Sinoxid" sprawa ta została pomyślnie rozwiązana. Zapłony tej amunicji nie posiadają w swym składzie zupełnie rtęci piorunującej i rozwiązane są w nich odrazu wszystkie trzy problemy: masa nie powoduje erozji przez swój skład chemiczny, ładunek masy został zmniejszony i główna część żużla zostaje zatrzymana po strzale w łusce.



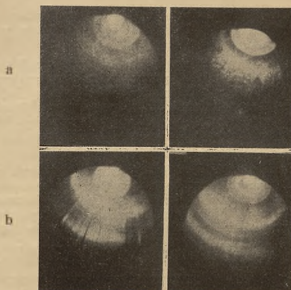
Po 4.000 strzałów:
a) zapłon z rtęcią piorunującą; b) amunicja „Sinoxid".

Wszystko to zostało osiągnięte bez jakiegokolwiek ujemnego wpływu na wydajność amunicji. Największe znaczenie ma dobór masy zapłonu, gdyż czynnik ten wyklucza możliwość powstania wypalań, gdy pozostałe dwa czynniki mogą tylko zmniejszyć to zjawisko. Przyczyna tego leży głównie w stosunkowo małej wybuchowości materjału inicjującego, użytego do wytwarzania amunicji „Sinoxid", przez co materjał lufy pod względem mechanicznym i termicznym atakowany jest bez porównania mniej, niż przy masach, zawierających rtęć piorunującą.

Ten powolniejszy rozkład masy, ale jednocześnie trwałe działanie termiczne i wysokie natężenie zapalności umożliwiają obniżenie ładunku masy bez straty co do uniwersalności amunicji w zastosowaniu do wszelkich typów broni.

Wreszcie osiągnięto zatrzymanie żużla w łusce w tej amunicji, o czem można się przekonać przez trącenie w dno łuski wypalonej; wypada z niej cały żużel w formie tworu szkieletowego.

Znaczenie użycia amunicji niepowodującej erozji wynika jasno z załączonych fotografij. Są to zdjęcia wnętrz dwu luf małokalibrowych, z których jedna była przestrzeliwana dotychczas używaną amunicją z rtęcią piorującą, druga zaś amunicją „Sinoxid".

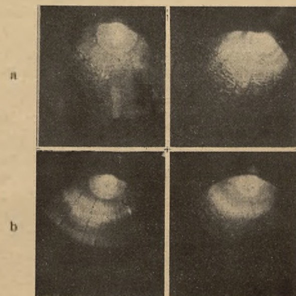


Po 10.000 strzałów:
a) zapłon z rtęcią piorunującą; b) amunicja „Sinoxid".

Aby wyrugować wpływ materjału na wyniki, nie użyto tu dwu różnych luf, lecz jedną lufę przekrajano w środku i zaopatrzono w komory nabojowe. Obie te tak powstałe lufy poddano przestrzeliwaniu do 25.000 amunicji, przyczem po pewnych przerwach, 4.000, 10.000, 20.000 i 25.000 strzałach, został fotograficznie utrwalony każdorazowy stan lufy. Trzy pierwsze zdjęcia wykonano w lufie, ostatnie po przecięciu lufy. W zdjęciach wewnątrz lufy, lewa wykazuje stożek przejściowy, prawa zaś gwintowaną część lufy w odległości około 20 mm. od stożka przejściowego. Zdjęcia są powiększone prawie czterokrotnie.

Po wysłaniu 4 tysięcy strzałów wyraźnie widać charakterystyczną chropowatość stożka przejściowego i początek gwintów przy masie z rtęcią piorunującą. Zjawisko postępuje do około 45 mm. głębokości w lufie, mierząc od dna. Wolny bieg pocisku w stożku przejściowym, który służy jako skala przedłużenia lufy, zwiększył się od 1 mm. do 3 mm., a więc o 2 mm.

Przy użyciu masy „Sinoxid" lufa po tej ilości strzałów jest całkowicie nietknięta i czysta. Wolny bieg pocisku wzrósł tylko o 0,5 mm.



Po 20.000 strzałów:
a) zapłon z rtęcią piorunującą; b) amunicja „Sinoxid".

Po 10 tysiącach strzałów drugie zdjęcie przy rtęci piorunującej wskazuje znaczne wzmocnienie początk-

kowego zjawiska, połączone z wystąpieniem omówionych „dołków" wypalań. Strefa zajęta przez nie rozszerza się na długość około 53 mm. Wzrost wolnego biegu pocisku wynosi 1 mm.

Lufa, przestrzeliwana amunicją „Sinoxid", pozostaje wciąż niezmienną i także wolny bieg pocisku pozostaje stały.

Jeszcze wyraźniej występuje działanie erozji masy z rtęcią piorunującą przy podwojeniu liczby strzałów do 20 tysięcy. Nie powstaje już dalsze wydłużenie części zerozjowanej, lecz wypalanie staje się większe przez wzrost wgłębień i połączenie się ich. Początek pól jest w większej części zniszczony. Wolny bieg pocisku jest większy o dalsze 2 mm.

Jeszcze wyraźniej wskazuje zdjęcie przekroju po 25 tysiącach strzałów charakterystyczne zniszczenie przy masie z rtęcią piorunującą. Szczególnie rzuca się w oczy perełkowate zgrupowanie silnie wybitych rowów w stożku przejściowym. Wydłużenie lufy w tem miejscu jest widoczne wyraźnie gołem okiem. Zrozumiałem jest, że te zniszczenia mają wpływ na obniżenie precyzji strzału. Tarcze, ostrzelane przed i po tem długotrwałem strzelaniu, mają rozrzut czterokrotnie zwiększony.

Przy użyciu amunicji „Sinoxid" nie znaleziono po tej ilości strzałów zmian we wnętrzu lufy. Jest ona gładka i czysta, jak na początku strzelania i tylko słabe zabarwienie w okolicach stożka przejściowego, jako skutek długotrwałego działania wysokiej temperatury, wskazuje na to, że broń była używana. Średnica przewodu lufy jest bez zmiany, bez zmiany też wolny bieg pocisku. Jak należy się z tego spodziewać, precyzja strzału pomimo tych silnych działań wcale się nie zmniejszyła; trafień po i przed przestrzeliwaniem nie można od siebie odróżnić.

Wyniki te nie wymagają komentarzy; stwierdzić należy, że problem amunicji niepowodującej erozji lufy został rozwiązany.

INŻ. D. SMOLEŃSKI.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

PROTOKÓŁ POSIEDZENIA WYDZIAŁU WYKONAWCZEGO Z DN. 1 MARCA 1935 R.

Obecni byli: Przewodniczący Wacław Szperling, dr. Ignacy Grymiński, gen. Stanisław Skrzyński, inż. Henryk Sosonko i inż. Kazimierz Tołłoczko; sekretarzował Jerzy Bokiewicz.

Porządek dzienny był następujący:

1. Odczytanie protokółu posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 23 stycznia r. b.
2. Sprawy Delegatów.
3. Sprawy Stowarzyszeń.
4. Rozpatrzenie wniosków o odznaczenia.
5. Pismo Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych w sprawie tępienia wilków.
6. Sprawa plombowania zwierzyny bitej, przeznaczonej do handlu.
7. Ustalenie terminu posiedzenia Zarządu Związku.
8. Sprawy bieżące.
9. Wnioski.

Przyjęto do wiadomości usprawiedliwienia nieobecnych pp.: Wiceprezesa gen. Kazimierza Fabrycego, Wiceprezesa Maurycego hr. Potockiego, min. Mikołaja Dolanowskiego, red. Walentego Garczyńskiego, Witolda Kiltynowicza, min. Marjana Zyndram - Kościałkowskiego i prez. Józefa Skrzypka.

Zatwierdzono bez poprawek protokół posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 23 stycznia r. b.

Na wniosek Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich, jako Oddziału Związku, Wydział Wykonawczy mianował dotychczasowego Delegata Związku na powiat wileńsko - trocki, p. Józefa Pawłowskiego (Bieniakonie, Stoki), Delegatem również i na powiaty oszmiański i święciański województwa wileńskiego oraz lidzki województwa nowogródzkiego.

Na wniosek Wielkopolskiego Związku Myśliwych, jako oddziału Związku, Wydział Wykonawczy mianował p. nadl. Stanisława Karpińskiego (Jarocin, Tarce) Delegatem Związku na powiat jarociński województwa poznańskiego.

Na wniosek Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, jako Oddziału Związku, Wydział Wykonawczy mianował p. rej. Witolda Michałowskiego (Bochnia, Kazimierza Wielkiego 94) Delegatem Związku na powiat Bochnia województwa krakowskiego, nadto zaś postanowił odnowić nominacje na bieżące trzechlecie pp.:

w powiecie Biała województwa krakowskiego — Edwardowi Rudno - Rudzińskiemu (Kęty, Łęki),

w powiecie Myślenice województwa krakowskiego — burm. Włodzimierzowi Hendrychowi (Dąbrowa k/Tarnowa),

w powiecie Myślenice województwa Krakowskiego — burm. płk. Janowi Dunin - Brzezińskiemu (Myślenice, Osieczany),

w powiecie Żywiec województwa krakowskiego — Władysławowi Kępińskiemu (Żywiec, Moszczanica).

Skreślono z listy Delegatów Związku zmarłego w dniu 3 lutego r. b. ś. p. Karola Brauna (powiat Wieliczka województwa krakowskiego).

Wydział Wykonawczy zatwierdził kandydatury na Delegatów Związku:

p. Wojciecha Marylskiego (Pruszków, Pęcice) — na powiat warszawski województwa warszawskiego;

pp.: Erazma Tuszowskiego (Hrubieszów, Chiżowce), Ksawerego Węglińskiego (Grabowiec, Świdniki) i mjr. Oktawjana Andrzejewskiego (Hrubieszów) —

na powiat Hrubieszów województwa lubelskiego.

Przyjęto do wiadomości podziękowanie Śląskiego Towarzystwa Łowieckiego, Oddziału Związku na województwo śląskie, za życzenia, przesłane z okazji dziesięciolecia Śląskiego Towarzystwa Łowieckiego w dniu 24 stycznia r. b.

Zakwalifikowano do przyjęcia w poczet Stowarzyszeń Związkowych Klub Hodowców Wyżła Niemieckiego w Warszawie (29 członków) oraz postanowiono przedstawić Zarządowi Związku wniosek o ustalenie ulgowej składki członkowskiej od tegoż Klubu w wysokości 5% od efektywnych wpływów.

Po rozpatrzeniu wniosków o odznaczenia, Wydział Wykonawczy nadał:

Złoty Medal Zasługi Łowieckiej

kom. Stanisławowi Moszyńskiemu, komendantowi policji państwowej w Przasnyszu — za energiczne i skuteczne zwalczanie przestępstw łowieckich.

Srebrny Medal Zasługi Łowieckiej

Stanisławowi Niszczocie, przodownikowi policji państwowej w Przasnyszu — za gorliwą, energiczną walkę z kłusownictwem i wnykarstwem.

Ś. p. Bolesławowi Aftyce, gajowemu ordynacji Kozłówka Adama hr. Zamoyskiego — za pełną ofiarności walkę z kłusownikami, w czasie której odniósł śmiertelną ranę.

Józefowi Mierzejewskiemu, st. posterunkowemu policji państwowej, komendantowi posterunku w Czermnie — za gorliwą i energiczną walkę z kłusownikami.

Bronzowy Medal Zasługi Łowieckiej

Ignacemu Menżykowi, st. strażnikowi łowieckiemu maj. Sobanice — za gorliwą i energiczną walkę z kłusownikami i wnykarzami.

Marjanowi Jońcowi, przodownikowi policji państwowej, komendantowi posterunku w Zakopanem — za gorliwą i energiczną walkę z kłusownictwem.

Franciszkowi Masiakowi, przodownikowi policji państwowej, komendantowi posterunku w Hołubli — za gorliwą i energiczną walkę z kłusownictwem i wnykarstwem.

Włodzimierzowi Matule, komendantowi posterunku policji państwowej w Kiełczygłowie — za gorliwą i energiczną walkę z kłusownikami.

St. wachmistrzowi Walentemu Lenardowi i st. wachmistrzowi Dyonizemu Paszkiewiczowi, członkom Koła Myśliwskiego Podoficerów Żandarmerji w Warszawie — za działalność organizacyjną na polu łowiectwa.

Przyjęto do wiadomości podziękowanie pp.: Stanisława Madeyskiego, sekretarza Wołyńskiego Stowarzyszenia Łowieckiego, i Mieczysława Syski, starosty powiatowego w Łomży, za nadanie im odznaczeń.

Wniosek Komisji Propagandowej o wyjednanie u władz państwowych zarządzenia, aby poszczególne starostwa nadesłały Związkowi wykazy osób, którym wydano karty łowieckie, postanowiono przedstawić Zarządowi Związku z projektem pisma do pp. wojewodów.

Polskie Biuro Podróży „Orbis" zawiadomiło Związek, że w czasie trwania wiosennych targów w Wiedniu zorganizowana tam będzie wystawa łowiecka. Wiadomość ta została zamieszczona w „Łowcu Polskim".

Polska Agencja Telegraficzna zwróciła się do Związku z propozycją zamieszczenia w wydawanym przez nią „Przewodniku Turystyczno - Hotelowym po Polsce i Gdańsku", przeznaczonym dla zagranicy, działu łowieckiego. Postanowiono prosić p. hr. Potockiego o współpracę w zredagowaniu tego działu.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ.

WILD UND HUND.

Nr. 47/1934 str. 763 *„Realizacja ofiary zimowej niemieckiego łowiectwa"*. Odezwa Wielkiego Łowczego Rzeszy, p. Goeringa, oddania na rzecz najbiedniejszych zdobyczy łowieckiej, osiągniętej w czasie od 9 do 15 grudnia, wywołała przy praktycznem jej stosowaniu pewne trudności. Jeden z nadleśniczych zaznacza słusznie, iż tak specjalny odstrzał „dobroczynny" może być łatwo przeprowadzony na obszarach leśnych ze zwierzyną płową i czarną. Inaczej jednak przedstawia się sprawa na dużych terenach polowych, obfitujących w zające, kuropatwy i bażanty. Polowanie tam odbywa się zazwyczaj tylko raz do roku, połączone jest z dużemi kosztami, a zdobyta zwierzyna musi okupić całoroczny wydatek na jej hodowlę i ochronę. Urządzenie dodatkowego „małego" polowania jest tu wyłączone, gdyż wynikiem jego byłoby przepędzenie zwierzyny na obce tereny ze szkodą nietylko dla tego terenu, ale wogóle dla zwierzostanu. Ścisłe przeto wykonanie odezwy Wielkiego Łowczego pociągałoby za sobą dla właścicieli takich łowisk albo całkowitą utratę zdobyczy myśliwskiej i narażenie na wielkie straty, albo też zmusiłoby do przesunięcia terminu polowań na tych terenach na datę przed lub po okresie 9—15 grudnia, pozbawiając najuboższych zasiłku w zwierzostanie. Autor wzmianki, głęboko współczując odezwie Wielkiego Łowczego Rzeszy i słusznie twierdząc, że zastąpienie ofiary w naturze przez datek pieniężny nie odpowiada myśli przewodniej odezwy, której celem było dostarczenie najuboższym właśnie pieczystego na święta, proponuje ustalenie dla wielkich łowisk polowych obowiązku ofiarowania na ten cel od 5 do 10% ubitej zwierzyny w m. grudniu.

Nr. 47/1934 str. 809 Dr. G. Escherich *„Białowieża"*. Artykuł jest wyjątkiem ze świeżo wydanej w Berlinie książki Eschericha p. t. „Der Alte Jager". Autor, leśnik z fachu, później oficer podczas wielkiej wojny, został jako inwalida mianowany urzędnikiem policji w Łodzi, następnie kierownikiem biura paszportowego przy general - gubernatorstwie w Warszawie, wreszcie od września 1915 r. kierownikiem wojskowego zarządu leśnego w Białowieży. Autor przytacza krótki zarys historji Białowieży, jako rezerwatu łowieckiego królów polskich, a następnie cesarzy rosyjskich i przypomina rozkłady dwu wielkich polowań: we wrześniu 1752 r. za króla Augusta II ubito: 42 żubry, 13 łosi i 2 kozły; w 100 lat później w październiku 1860 roku w obecności Aleksandra II rozkład składał się: z 28 żubrów, 2 łosi, 10 danieli, 16 sarn, 11 dzików i 16 wilków. Za Aleksandra III zmieniono dotychczasowe ustosunkowanie się do puszczy i, dążąc do przekształcenia jej na zwierzyniec, sprowadzono ogromne ilości jeleni, danieli i sarn, wypowiadając jednocześnie zaciętą walkę drapieżnikom. Wynik nie kazał na siebie długo czekać: w pierwszych latach XX wieku ilość żubrów wzrosła coprawda do 1200 sztuk, jeleni powyżej 10.000 sztuk, innej zwierzyny płowej do 20.000 sztuk, ale równocześnie łosie wyniosły się z puszczy do sąsiednich lasów, zaś tak wielkie skupienie zwierzyny sprawiło, że w 1910 r. wybuchła zaraza, po której w 1914 r. stwierdzono w puszczy obecność tylko 16 tys. sztuk, w tem żubrów 737, jeleni 6778, danieli 1488, sarn 4966, dzików 2225. Przyszła wojna, która ogarnęła i teren Białowieży. Cofanie się wojska rosyjskiego, następowanie wojska niemieckiego nie mogło nie odbić się ujemnie na zwierzostanie puszczy, ale daleko większe zniszczenie spowodowało usunięcie dotychczasowej ochrony, z braku której wygłodzona ludność skorzystała dla uzupełnienia pożywienia z odstrzału przedewszystkiem najbardziej oswojonej, a zarazem najkorzystniejszej pod względem aprowizacyjnym zwierzyny — żubrów. Pozatem zwierzyna ginęła zimą z głodu, wobec zaprzestania dożywiania i zatracenia umiejętności radzenia sobie samej*).

Obejmując w tych warunkach zarząd puszczy, autor, p. Escherich, uważał za główny obowiązek podjęcie walki z kłusownictwem, aby uratować pozostałą przy życiu zwierzynę. Było to zadanie trudne, gdyż puszcza przepełniona była ponadto dezerterami i maruderami wojskowymi. Skuteczną pomoc okazał dowódca miejscowej kolumny samochodowej, oraz specjalnie delegowany oddział kawalerji wraz z bataljonem pospolitego ruszenia, które prowadziły w puszczy formalną walkę podjazdową z kłusownikami. Na tem kończy się wyjątek z książki p. Eschericha.

Dla informacji dodać należy, że tenże p. Escherich był w 1920 r. twórcą znanej i u nas na zachodzie organizacji wojskowej „Orgesch", stanowiącej skrót słów: organizacja Eschericha.

Nr. 49/1934 str. 833 Albert B. *„Łowienie jeleni"*. Wobec niedogodności, jakie stwarza stosowanie przy łowieniu jeleni dla odświeżania krwi zagród z siatek żelaznych, które silniejsze jelenie zrywają, zaplątując się i kalecząc drutami, autor opisuje sposób budowania przezeń zagród z palików drewnianych o wysokości 4 m. i grubości 5—6 cm., przybijanych do desek, umocowanych na słupach o grubości 15—17 cm. i wysokości 3 m. Słupy te wkopywane są w ziemię na głębokość do 80 cm. i ustawione co 2 — 2,5 m. Zagroda tworzy owal i posiada z jednego boku wejście szerokości 1 m., nad którem umocowuje się opadające drzwi, z drugiej strony wyjście w postaci coraz to zwężającego się korytarzyka, przez który złowione jelenie są przepędzane do klatki. Korytarz wyjściowy podzielony jest przez kilka podnoszonych drzwi na parę przedziałów, ułatwiających segregowanie złowionych jeleni. Samo łowienie dokonywa się w ten sposób, iż podczas budowy zagrody oraz przez kilka dni potem wokoło zagrody, a głównie przed wejściem i wewnątrz zagrody rozrzuca się obficie jadło. Kiedy jelenie przyzwyczają się do korzystania z pożywienia i będą spokojnie wchodziły do zagrody, należy się ukryć w oddalonym o 20 metrów szałasie i w chwili właściwej przeciąć drut, podtrzymujący drzwi przejściowe. Łanie i cielęta mogą być bezpośrednio przepędzane do korytarza wyjściowego i do klatek, bykom zaś należy zarzucić na rogi sznur, podciągnąć go do ogrodzenia i tam obciąć piłą wieńce na wysokości 10—15 cm. nad różą. Transportowanie jeleni z wieńcami jest niebezpieczne zarówno dla ludzi, jak i dla zwierzyny.

Nr. 1/1935 str. 3 E. Scharem. *„Wystawa rosoch łosi"*. W dn. 17 grudnia otwarto doroczną wystawę rosoch oraz dolnych szczęk łosi, ubitych w roku ubiegłym w Prusach Wschodnich. Objaśnień udzielał p. Orlowski z Tawellningken, łowczy terenów łosich. Ogółem ubito w 1934 r. — 61 sztuk łosi (łącznie z klempami). Obok kapitalnych byków, jak np. ubite przez premjera Göringa dwa: 22 i 20-tak, większość ubitych łosi wykazała rosochy znacznie słabsze, niż w latach poprzednich, co tłomaczyć jednak należy tem, że odstrzał dotknął głównie zwierzęta słabe, przeznaczone do odstrzału ze względów selekcyjnych. Krocząc tą właśnie drogą, łowiectwo wschodnio - pruskie ma nadzieję osiągnąć poprawę stanu hodowlanego łosi.

Nr. 1/1935 str. 11 W. Pieper *„Bobry w Niemczech"*. Artykuł zawiera opis żeremi bobrowych przy ujściu Saali, wyszczególnia rodzaj pożywienia drzewnego, używanego przez bobry, sposób budowania mieszkań, zachowanie się podczas zimy i stwierdza wkońcu stałe, acz powolne rozmnażanie się bobrów.

J. G.

---

*) Zastosowanie niewłaściwej gospodarki łowieckiej w Puszczy Białowieskiej i jej skutki opisał szczegółowo p. E. Bark w artykule, drukowanym w Nr. 30 „Łowca Polskiego" 1934 r., p. t. „Pożegnalna spowiedź". Artykuł ten stanowi tłomaczenie drukowanego w r. 1913 artykułu tegoż autora p. t. „Pożegnalna spowiedź myśliwego" w tygodniku „Neue Baltische Waidmannsblaetter". Pan Bark podczas okupacji był prawdopodobnie moralnym współpracownikiem Eschericha, jako ówczesny tytularny nadleśniczy Puszczy. Niewątpliwie też książka „Der Alte Jager" powstała na tle informacyj p. Barka, udzielanych w owym czasie Escherichowi osobiście. *(Przyp. red.)*.

DOBRE I ZŁE.

„Echa leśne" zawiadomiły swych czytelników drogą wydania odezwy do nich w formie dodatku nadzwyczajnego, że przekształcają dotychczasowy miesięcznik na tygodnik w celu nawiązania bliższego kontaktu duchowego z wielką rodziną leśnika polskiego.

Zmianę tę należy powitać z zadowoleniem i uznaniem dla redakcji i wydawców tembardziej, że koszt prenumeraty zostaje podwyższony stosunkowo bardzo nieznacznie — zaledwie do 3 zł miesięcznie (dla członków 2 zł.) — jeśli wziąć pod uwagę, że prenumeratorzy będą otrzymywać poczwórną ilość numerów rocznie przy zapowiadanej znacznie zwiększonej objętości i rozszerzonym programie ilustracyjnym i treści.

Nowemu tygodnikowi szczerze życzymy zasłużonego powodzenia w jego wytrwałej i celowej pracy uspołeczniania i jednoczenia wszystkich ugrupowań rodziny leśnika polskiego.

Należy się spodziewać, że w zwiększonych obecnie ramach „Ech leśnych" łowiectwo znajdzie również szerzej ujętą treść fachową ze swej dziedziny i odpowiedni wyraz propagandy wśród leśników.

*

Ostatni Nr. 3 „Łowca" lwowskiego między innemi przynosi artykuł p. Józefa Sikory, zasługujący na szczególną uwagę. Tytuł artykułu — może niezbyt fortunny, jak na pismo łowieckie: „Dla ochrony ptaków"; autor rozważa fakt wybitnego rozmnażania się drapieżników skrzydlatych, idąc po linji obrony drobnych zwierzostanów i śpiewającego drobiazgu, ptaszków leśnych.

Autor wyraża przekonanie, że nadmierne rozmnożenie się drapieżników skrzydlatych, dziesiątkujących kuropatwy, bażanty i zające (różnego gatunku jastrzębie), jak również czyniących zimą spustoszenie wśród małych leśnych sprzymierzeńców skrzydlatych (krogulec), ma miejsce wskutek niewłaściwego uzbrajania przez właścicieli majątków swej straży polnej i leśnej w rewolwery, z których niepodobna przeciwstawić się rabunkowi drapieżników skrzydlatych wśród zwierzyny i ptactwa śpiewającego.

Autor uważa, że obawa przed kłusowaniem strażników, gajowych i polowych, wobec której uzbraja się tę straż jedynie rewolwerami, nie jest tu na miejscu, gdyż strażnik - kłusownik znajdzie zawsze dość sposobności do tępienia zwierzyny, choć nie da mu się w rękę broni śrutowej. Chodzi więc tylko o właściwy dobór ludzi, gdyż decydować będzie w tej kwestji wrodzony charakter — nie jakość uzbrojenia.

Nad tematem, poruszonym przez p. Sikorę, powinni się zastanowić głębiej myśliwi - hodowcy. Panu Sikorze nie można odmówić całkowitej racji w jego rozumowaniu. Trzeba wziąć pod uwagę i to także, że odpowiedniego strażnika wychować sobie można samemu „od dziecka", że pozatem jest dość sposobów skontrolowania jego czynności na terenie, sprawdzenia do czego została użyta amunicja i w jakim celu wystrzelał ją z broni.

Ważną tę kwestję rozwiązałoby może najlepiej założenie szkoły straży leśnej i polowej z udziałem w jej kierownictwie rolników i leśników—myśliwych, hodowców zwierzyny.

Jest to sprawa jedna z najpilniejszych, leżąca w interesie zorganizowanych myśliwych i powinien ją rozważyć bliżej Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

*

Inż. Władysław Kolder, inspektor rybactwa Krakowskiej Izby Rolniczej, zamieszcza w Nr. 3 „Przeglądu Rybackiego" artykuł p. t. „Niebezpieczeństwo gospodarcze szczura piżmowego i konieczność podjęcia z nim planowej walki".

Autor zarzuca temu gryzoniowi przedewszystkiem niszczenie grobli stawowych w gospodarstwach rybnych, narażających je częstokroć na ucieczkę ryb i dotkliwe straty, zaznacza jednak, że to niszczycielska akcja szczura piżmowego zagraża również zakładom przemysłowym, korzystającym z siły wodnej, szosom, nasypom kolejowym i t. p.

Z tem wszystkiem propaganda hodowców zwierząt futerkowych za rozwijaniem hodowli szczura piżmowego może mieć nieobliczalne w swych ogólno gospodarczych skutkach następstwa.

Zresztą powołuje się inż. Kolder na przykład wprowadzenia przez Czechy w 1905 r. szczurów piżmowych, które tak się rozmnożyły, że potrafiły z biegiem lat wyrządzić olbrzymie szkody w środkowej Europie.

Autor nawołuje więc do zastosowania bezwzględnej, planowej walki z tym gryzoniem w jego dzisiejszych ośrodkach istnienia (południo-zachód Polski i Polesie), niepokojąc się jednocześnie, że pełne zrozumienie potrzeby tej walki posiada tylko mała garstka ludzi — rybacy i częściowo myśliwi.

Jeśli chodzi o myśliwych, to być może, że pobudką dla nich w wypowiedzeniu szczurowi piżmowemu walki powinno stać się nietylko jego futerko zimowe (dla jednych), lub domniemane masowe niszczenie gniazd dzikich kaczek i innego błotnego ptactwa, a także napaści na drobiazg pisklęcy (dla drugich). Z Polesia nadchodzą także wieści, że szczury tamtejsze zabierają się w tym samym sensie do jarząbków, a więc do ptaków, będących zwierzyną rzadką i niełatwo wzrastającą ilościowo z powodu mnóstwa czyhających na nią drapieżników. Jest to dotychczas wersją ludności (patrz „Wynik ankiety o jarząbku" „Łow. Pol." 1934), niesprawdzoną przez właścicieli terenów i myśliwych, wszelako posiada wszelkie pozory prawdopodobieństwa, lecz należałoby postarać się o jak najrychlejsze jej sprawdzenie drogą troskliwych badań.

*

Niejednokrotnie zwracałem już uwagę naszych czytelników na to, że „Ilustrowany Kurjer Codzienny" nie posiada szczęścia do swych korespondentów łowieckich, jakkolwiek zajmuje się dość często problematami z łowiectwem związanemi.

Dziś musimy podkreślić zupełną ignorancję „I. K. C." spraw łowieckich i stosunków, jakie w tej dziedzinie panują w naszym kraju.

W sprawozdaniu z polowania, urządzonego przez książąt Radziwiłłów dla ich gościa ks. Monaco Grimaldiego (Nr. I K.C. z 2 marca b. r.) podano, że pokot polowania wyniósł 24 lutego: „1 wilka, 1 ł o s i a (!) i 2 dziki; 25 lutego — kilka dzików".

I cóż się okazuje — oto ktoś, redagujący tę wzmiankę, nie doczytał informacji dokładnie, że ubito 1 lisa — i machnął z lekkiem sercem: 1 łosia... I jeszcze gdzie, u ks. Radziwiłła! Zaiste, Karol ks. Radziwiłł, którego ostoje łosiowe, największe w Polsce, dochodzą w b. r. do 500 sztuk pogłowia, którego są okiem w głowie, jako hodowcy i myśliwego, mógłby zupełnie słusznie przesłać redakcji „I. K. C." odpowiednie „podziękowanie" za „trafną reklamę" polowania, którego był niewątpliwie organizatorem.

Wątpliwe jednak, czy i ta „wsypa" skłoni nareszcie redakcję „I. K. C." do dobrania sobie właściwych ludzi dla prowadzenia działu łowieckiego, gdyż, niestety redakcja „I. K. C." jest pod tym względem nadto uparta.

*

Jedno z ilustrowanych czasopism angielskich, wychodzące pod tytułem „The Spehre", zamieszczając głośne w całej prasie europejskiej zdjęcia fotograficzne z reprezentacyjnego polowania w Białowieży, na którem między innymi znajdował się, jako gość Pana Prezydenta Rzplitej, Wielki Łowczy Rzeszy premjer Goering, zareprodukowała, prócz obrazów z samego polowania, ładną fotografję żubra.

Choć żubr sam jako taki nie jest nowością dla Anglików, którzy sami posiadają największe stado żubrów w Europie, nie byłoby w tem nic dziwnego, że właśnie z okazji, o której mowa, zamieszczono podobiznę tradycją zrosłego z puszczą polską zwierza, gdyby nie małe „ale"...

Oto czasopismo to opatrzyło fotografję żubra wzmianką, iż kilka takich egzemplarzy ubito na tem właśnie polowaniu.

Trudno się nie śmiać... Ale jednocześnie nasuwa się poważniejsza refleksja, czem się dzieje, że naogół zdarza się nierzadko, iż redakcje najpoważniejszych nieraz pism, polegając na komunikowanych im bzdurach reporterskich, bardzo często nie z pierwszej ręki pochodzących, zamieszczają wiadomości, świadczące o całkowitej ich ignorancji odnośnie jakiejś dziedziny, lub przedmiotu.

Zdawałoby się, że w Anglji, jak wogóle na zachodzie, gdzie tradycja prasy i jej powaga stoją dostatecznie wysoko, nic podobnego zdarzyć się nie powinno.

Niemniej tak było i miało miejsce w marcowym numerze „The Spehre".

Niechże ten lapsus łowiecki będzie szczęśliwą przepowiednią dla rozwoju naszego łowiectwa i hodowli zwierzyny.

WUZET.

PROŚBA DO PANÓW MYŚLIWYCH.

Zakład Hodowli Ogólnej Uniwersytetu Jagiellońskiego, który od dłuższego czasu prowadzi doświadczenia nad sztucznym wylęgiem i wychowem głuszców, cietrzewi i jarząbków, doświadczenia uwieńczone jak dotąd dosyć pomyślnemi wynikami, zwraca się z uprzejmą prośbą do myśliwych, właścicieli terenów, obfitujących w wymienione ptaki, o przesyłanie ich jaj, zdatnych do wylęgu, za zwrotem wszelkich kosztów, związanych z opakowaniem lub przesyłką. Jajka muszą być podebrane starce przed rozpoczęciem wysiadywania, t. zn. tylko wtedy, gdy w gnieździe znajduje się u głuszców najwyżej cztery, zaś u cietrzewi i jastrząbków — sześć jaj. Można zresztą rozpoznać jaja niezalęgnięte, uważnie przeglądając je pod światło lampy, lub latarki elektrycznej przez tubkę, zwiniętą z czarnego papieru.

W razie dodatnich rezultatów tegorocznych wylęgów i pomyślnego odchowania się ptaków, na wyrażone życzenie zostaną one zwrócone dostarczającemu jajka, lub ofiarowane Warszawskiemu Ogrodowi Zoologicznemu.

Adres: Zakład Hodowli Ogólnej U. J. Kraków, Al. Mickiewicza 21.

STAN ŁOSI W ORDYNACJI DAWIDGRÓDECKIEJ KAROLA KS. RADZIWIŁŁA.

Po przeprowadzeniu w końcu lutego b. r. dokładnej osoki na terenach poszczególnych leśnictw ordynacji dawidgródeckiej i po uzgodnieniu jej rezultatów między leśnictwami, na dzień 1 marca b. r. ustalono cyfrę otropionych łosi na 375 sztuk. Uwzględniając trudności w uzgodnieniu stanu łosi między leśnictwami i obliczając ich stan z najwyższą rezerwą, przyjąć w każdym razie można, że jest nie mniejszy od 350 sztuk.

Przewidywać należy w roku 1935 przychówek około 155 sztuk młodzieży, co podnieść powinno stan łosi do łącznej cyfry ca 500 sztuk.

Stwierdzić należy, że stan zdrowotny łosi jest doskonały, spotykane sztuki mają włos dobry i wyglądają tłusto.

D u ż e s z k o d y w s t a n i e ł o s i, p o m i m o e n e r g i c z n i e p r z e p r o w a d z a n e j w a l k i, w y r z ą d z a j ą w i l k i. M e l d o w a n o o 5 s z t u k a c h ł o s i, z j e d z o n y c h p r z e z t e d r a p i e ż n i k i.

R O Z M A I T O Ś C I.

PRZESTROGA DLA MŁODYCH HODOWCÓW.

Ciekawy wypadek, jaki się wydarzył w lasach majątku Lipie, częstochowskiego powiatu, o którym zawiadamia p. Aleksander Knothe, stanowi w pewnym kierunku przestrogę dla hodowców.

W końcu lutego znaleziono nieżywą łanię w zagajniku; po zdjęciu skóry, nieposiadającej oznak postrzału, wyjęto wnętrzności, które okazały się zupełnie zdrowemi, jak również skonstantowano ciążę. Przy dalszych poszukiwaniach powodu upadku, znaleziono w żołądku wielką ilość jęczmienia, co było powodem śmierci. Łania ta prawdopodobnie chodziła od budki do budki i wyjadała zasypany dla bażantów jęczmień. Ponieważ chłopiec, rozdający ziarno, z próżniactwa nie rozsypywał go po całej budce i nie mieszał z plewami, wysypując na jedną kupkę, łania miała łatwe zadanie, co jednak nie poszło jej na zdrowie.

Wynika stąd, że należy zasypywane dla bażantów ziarno zawsze pomieszać dobrze z plewami, których nie powinno brakować w budkach, co i dla tych ptaków będzie pożyteczniejsze.

ZNACZONY ZAJĄC.

W obwodzie wspólnym Porzecze Lubieńskie, pow. Gródek Jagielloński, p. Jan Maceluch zastrzelił na polu w styczniu b. r. zająca, zaopatrzonego w kolczyk z literami A D I V—41231.

Ewentualna wiadomość, przez kogo i gdzie zające były tak znaczone, prosimy skierować do redakcji „Łowca" (Lwów, Ossolińskich 11).

„WŚCIEKŁY" DZIK.

W Nr. 58 „I. K. C." pojawiła się wzmianka z Wołynia o dziku, który kaleczy ludzi. Wiadomość tę, rzeczywiście ciekawą, czuję się w obowiązku uzupełnić i podać do wiadomości „Łowca Polskiego".

W bezpańskich lasach maj. Buszcza, gdzie wszelka zwierzyna jest niemiłosiernie tępiona, pojawił się przed kilkoma tygodniami duży odyniec. Oczywiście — posłano zaraz po znanego kłusownika i jego pieski, a panowie myśliwi, nie bacząc na przysłowie o dziku i niedźwiedziu, beztrosko wybrali się po zgóry już oznaczoną ogromną ilość pudów mięsa, lecz przerachowali się srodze, gdyż dzik, atakowany przez kundle, okazał się niesłychanie przedsiębiorczy, z miejsca rozpłatał jednego psa, jego pana zaś, który schronił się za drzewo, zdołał jednak dość silnie pokaleczyć w nogi. W pogoni za drugim psem wpadł na p. R. i wyrzucił go, jak z procy, o kilka metrów w głęboki śnieg, gdzie legł oszołomiony. Mam wrażenie, że jedynie głęboki śnieg życie mu uratował, rozjuszony bowiem odyniec powrócił do swej ofiary i, nie mogąc go ciąć potężnemi szablami z powodu głębokiego śniegu, szarpał na nim ubranie i wyrywał kawałki ciała, pastwiąc się niemiłosiernie nad myśliwym, który bezskutecznie wzywał ratunku.

Naokoło zaczerwienił się śnieg i zdawało się, że dla nieszczęśliwego myśliwca niema ratunku, lecz od niechybnej śmierci uratował go najlepszy przyjaciel człowieka, pies, który, nie bacząc na tragiczną śmierć swego towarzysza, zaczął ze zdwojoną siłą szarpać potężnego zwierza i tak mu dokuczył, że ten wreszcie puścił swą ofiarę, wziął się do psa i również zdołał go poważnie pokaleczyć. Oczywiście z tej przerwy skorzystał p. R., by ostatkiem sił oddalić się trochę i zejść z oczu rozjuszonej bestji. Na tem tle powstała istna legenda o wściekłym dziku, który spotkanych ludzi i podwody regularnie atakuje.

W końcu lutego dano mi znać, że pojawił się wielki odyniec i że jest obcięty w bardzo niedużym kawałku lasu. Choć już rozpoczęły się roztopy, jeszcze sankami jako tako można było dojechać, poniosła mnie więc żyłka myśliwska i w dwie godziny, po strasznej, jak się okazało, drodze, byłem już na miejscu.

Sądząc po śladach, był to olbrzym, który zaległ w małym kawałku olszyny, podszytej świerkiem. Ponieważ podchodzenie z powodu rannego przymrozku było niemożliwe, choć byłem sam jeden, postanowiłem po naradzie psa nie puszczać, lecz pędzić dzika na wchodowy ślad, na którym stanąłem, jednak naganka, złożona z 4 gajowych wyszła, a dzik się nie pokazał i, jak się okazało, pozostał w miocie. Wtedy gajowy, który go obcinał, poszedł się przekonać, co się z nim stało.

Po chwili usłyszałem krzyk i strzał, a gdyśmy śpiesznie nadeszli, zastaliśmy przerażonego gajowego na drzewie, a strzelbę jego w śniegu. Okazało się, że, pędząc dzika, przeszedł obok niego o parę zaledwie kroków, a idąc za śladem, wlazł wprost na dzika, który wtedy już ku niemu sunął. Nieszczęsny gajowy miał ledwo czas wystrzelić, oczywiście na wiwat, i wdrapał się na drzewo; wtedy dzik postał chwilę pod drzewem i najspokojniej odszedł. Przerażony gajowy twierdził stanowczo, że to właśnie ten wściekły dzik, który jest postrachem całej okolicy.

Nie mając wcale nadziei na pomyślny rezultat, posłałem jednak po psa, który, puszczony na ślad, odbiegłszy paręset kroków, natychmiast zaczął atakować. Wtedy oczywiście bardzo ostrożnie zacząłem podchodzić i po chwili ujrzałem dużego odyńca, który wściekle uganiał się za psem. Z bijącem sercem przypatrywałem się tej wspaniałej scenie, lecz z powodu gąszczu strzelać nie mogłem, musiałem więc dalej podchodzić i szukać wygodniejszego miejsca do strzału. Nie uszedłem 10 kroków, gdy dzik przystanął, odwrócił uwagę od psa, ogromny swój łeb skierował w moją stronę i z najeżoną szczeciną, która mi przypomniała, mimo tak tragicznej stosunkowo chwili, sztucznie podniesioną czupurynę klowna, tak fantastycznie na nim sterczała — sunął wprost na mnie.

Na szczęście celny strzał z Heima zrulował go na miejscu i pozwolił mi uniknąć pewnego kalectwa. Jak się okazało, był to potężny odyniec z bardzo ostremi szablami i rzeczywiście na pół wściekły z powodu ciężkiego okaleczenia przez innego dzika w bardzo intymne miejsce.

J. DUNIN KARWICKI

KŁUSOWNICTWO.

(-zet-) W Bydgoszczy na dworcu kolejowym zatrzymano niejakiego Marcelego B., zamieszkałego koło Bydgoszczy, który w walizce miał 12½ kg. sarny, pochodzącej prawdopodobnie z kłusownictwa. Mięso to B. zamierzał sprzedać w Bydgoszczy.

(-zet-) W lasach, należących do maj. Jasienica Rosielna, w woj. lwowskiem, nieznany kłusownik zastrzelił oswojoną sarnę „Basię", która była faworytką całej okolicy, a była tak ufną, że sama podchodziła do ludzi. Czyn ten został ogólnie potępiony, już nawet nie ze względu na odpowiedzialność karną, lecz z powodów czysto moralnych, niedopuszczalnem jest bowiem zabijanie zwierząt oswojonych.

(-zet-) W ostatnich czasach coraz częściej zdarzają się kradzieże drzewa z lasów i dochodzi z tego powodu nawet do krwawych zajść pomiędzy gajowymi i złodziejami. Ponieważ kradzieże te dokonywane są przeważnie przez kłusowników, przeto notujemy te wypadki.

W lasach hr. Branickich w Natolinie od dłuższego czasu grasowali złodzieje, którzy kradli drzewo i niszczyli las, a zwłaszcza park natoliński. Dlatego też dozór nad parkiem powierzono specjalnie gajowemu Zygmuntowi Wachowskiemu.

W końcu lutego r. b. wieczorem zakradł się do parku Stanisław Kazubski, zamieszkały w Powsinku. Spostrzegł go Wachowski i zażądał, aby ten natychmiast park opuścił. Kazubski jednak nietylko nie spełnił żądania gajowego, lecz rzucił się na niego, chcąc go rozbroić, wobec czego Wachowski w obronie własnej wystrzelił do niego z dubeltówki, celując w nogi i ranił go w łydkę, o czem natychmiast doniósł miejscowemu posterunkowi policji. Policja wezwała pogotowie prywatne z Warszawy. Doktór skonstatował duży upływ krwi i po nałożeniu opatrunku przewiózł go do szpitala w Warszawie.

Następnej nocy do lasów hr. Branickich udali się Jan Białek i Marja Fenik w celu kradzieży drzewa. Gajowi, którzy pilnowali lasu, polecili im las opuścić, lecz oni rzucili się na jednego z gajowych, który w obronie własnej wystrzelił z dubeltówki, raniąc oboje.

Państwowy las Mierucin koło Pakości w ostatnich czasach często był nawiedzany przez złodziei drzewa, którzy, nie zważając na surowe wyroki, stale popełniali kradzieże, a niektóre części lasu były wprost spustoszone.

W połowie lutego r. b. leśniczy Medycki spotkał w lesie pięciu ludzi, którzy ścinali drzewo. Zobaczywszy go, zaczęli uciekać, ale jeden z nich w pewnej chwili zatrzymał się i wystrzelił do leśniczego kilka razy z rewolweru, nie czyniąc mu na szczęści żadnej krzywdy.

Zawiadomiona o wypadku policja miejscowa ujęła złodziei, którymi się okazali: Florjan Rosiński, Stefan Wodzieński, Wilhelm Menke, Leon Nenygowski i Wincenty Wesołek, mieszkańcy Sadowa pod Mogilnem. Do leśniczego strzelał Wesołek, który tłomaczył się, że strzelał tylko z korkowca dla postrachu. Po przeprowadzeniu jednak śledztwa okazało się, że jest to nieprawdą. Wszyscy złodzieje oddani zostali do dyspozycji sądu grodzkiego w Mogilnie.

W ostatnich dniach polowy majątku Łukowo pod Obornikami, Andrzej Władysiak, spotkał w lesie dwóch ludzi, którzy zamierzali kraść drzewo. Polowy polecił im las opuścić, lecz złodzieje rzucili się na niego, zadając mu ciosy w głowę i twarz, skutkiem czego Władysiak stracił przytomność. Napastnicy skorzystali z tego i zbiegli, lecz wkrótce potem zostali ujęci i aresztowani na zasadzie rozpoznania ich przez przypadkowych świadków tego zajścia.

Władysiak oddany został pod opiekę lekarską.

Drugi podobny wypadek miał miejsce w pow. mogileńskim. Oddawna już z lasu państwowego Szczepanowo kradziono stale drzewo, pustosząc las bardzo znacznie. Kradzieży tych dokonywali zamożni rolnicy z okolicznych wsi.

Ostatnio policja państwowa wpadła na ślad, że kradzieże popełniane były przez mieszkańców wsi Białobloty, Stanisława Piaseckiego, Michała Tomczyka i Jana Stracha, którzy kradzione drzewo przechowywali w zagrodzie ojca Stracha, właściciela 54 morgowego gospodarstwa.

Wobec tego do zagrody Stracha przybył posterunkowy policji wraz z leśniczym Szułą w celu dokonania rewizji, lecz znajdujący się tam złodzieje rzucili się na nich z nożami i rewolwerami, uniemożliwiając im przeprowadzenie swej czynności. Postawa napastników była tak groźna, że władze zmuszone były wysłać dodatkowo kilku policjantów i wówczas dopiero udało się obezwładnić złodziei i przewieźć ich do więzienia.

W zagrodzie znaleziono duże zapasy drzewa, skradzionego w okolicznych lasach.

W ostatnich dniach w lasach S. S. Benedyktynek w Lesienicach pod Lwowem dokonano napadu na gajowego, Józefa Wagnera, który prześladował wytrwale złodziei drzewa.

Dochodzenie policji w Winnikach ustaliło prawdopodobny przebieg tego zajścia.

Wagner, obchodząc rewir t. zw. „Na żłobkach", spotkał kilku złodziei, którzy ścinali młode buki. Zobaczywszy gajowego, rzucili się na niego, bijąc go żelaznemi laskami, wskutek czego Wagner doznał pęknięcia czaszki i stracił przytomność. Korzystając z tego złodzieje, przez nikogo niezauważeni, zbiegli, unosząc ze sobą ścięte drzewa.

Wkrótce potem przechodziła przez las pewna kobieta, która, zobaczywszy leżącego gajowego, zawiadomiła o tem rodzinę. Zawezwane pogotowie ratunkowe przewiozło Wagnera do szpitala powszechnego. Stan jego zdrowia jest poważny. Dotychczas nie odzyskał on przytomności, wobec czego policja nie może go przesłuchać. Na ślad sprawców do tej pory nie natrafiono.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

— W maj. Grzymiszew, ziemi kaliskiej, u p. Ludwika Pułaskiego odbyło się w dniu 5 listopada ub. r. polowanie na dziki. Wzięto także parę pędzeń na drobną zwierzynę. Na pokocie osiągnięto 6 dzików i 123 sztuki drobnej zwierzyny.

W dniach 26 i 27 listopada odbyło się tamże polowanie w lesie i w polu, ławami i w pędzeniach. Na początku polowania wzięto wyłącznie na dziki dwa pędzenia, trwające 2 godziny.

Ubito 11 dzików, 664 zajęcy, 144 bażanty, 357 królików, 90 kuropatw i 1 słonkę; razem 1267 sztuk.

W maj. Chylin p. Ludwika Pułaskiego na polowaniu w dniu 16 grudnia ub. r. osiągnięto pokot, składający się z 330 zajęcy i 110 kuropatw, strzelanych za zezwoleniem władz wojewódzkich.

— Na terenie dóbr Klucza Zatorskiego, ubito w okresie od dnia 1 lutego 1934 r. do dnia 31 stycznia 1935 r. następujące ilości zwierzyny łownej.

Dzikich kaczek 1155, kszyków 81, bażantów 274, kuropatw 160, zajęcy 63, dzikich gęsi 3, derkaczy 1, kulonów 2, różnych 1, — razem 1740 sztuk.

Szkodników: 1 kunę leśną, 9 tchórzy, 388 łasic, 235 jastrzębi, 124 psy, 381 kotów, 215 wron, 534 srok, 64 sójek; — razem 1951 sztuk.

Doniesień karnych o kłusownictwo wygotowano w okresie sprawozdawczym 34, z czego w 24 wypadkach sprawcy zostali ukarani. Pozostałe sprawy w toku. — Strzelb skonfiskowano 15.

Polowania na zające (poza zapotrzebowaniem wyłącznie własnem) w ubiegłym sezonie nie urządzano.

— Dnia 16-go stycznia 1935, polowano w Liczkowcach p. Emila Kimmelmanna. Przy fatalnej pogodzie w 12 strzelb, ubito 50 zajęcy.

— Dnia 30 stycznia b. r. polowano w lesie Młyniska, Piotra hr. Borkowskiego. Przy pięknej pogodzie, w 17 strzelb ubito 200 zajęcy i 2 lisy, w dziewięciu miotach.

— Dnia 12 lutego b. r. odbyło się polowanie na dziki w Bukownie. Polowano w 3 strzelby i zabito 8 dzików, z tych p. Józef Bochdan zabił 5 (2 dublety). — Polowanie doskonale prowadzone przez gospodarza p. Andrzeja Komornickiego.

— Rozkład zimowych polowań w ostatnim sezonie w Koropcu nad Dniestrem, dobrach hr. Stefana Badeniego, wynosił: 25 dzików, 10 lisów, 134 zające, 2 jastrząbie gołębiarze.

Redaktor Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7.50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 2.50. — Numer pojedynczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.
Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; najmniejsze ogł. — 1 zł.
W numerach ozdobnych: Za tekstem 1 milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.
Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich tel. 6 66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98. KONTO P. K. O. Nr. 8082

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15